Mord pod Rejowcem str. 9

Raz, dwa wzięli str. 10-11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 36314

NR 19 (891) 20 września 1987 Cena 20 zł

I chcemy, i boimy się...

Wiesław Horabik

SPRAWY reformy pojawiają się ostatnio tak często na łamach prasy że zastanawiałem się długo nad potrzebą wtrącenia własnych „trzech groszy" Koncepcje ekonomiczne ścierają się na rozmaitych polach co chwila ktoś zgłasza rewolucyjne projekty, ekspertów z dziedziny przeobrażeń przybywa. Tworzy to klimat ogólnonarodowej dyskusji, zgoda, pytanie tylko, czy całe przedsięwzięcie ma szanse na ogólnonarodowe wsparcie? Tymczasem wygląda n to iż z jednej strony społeczeństwo pragnie reformy i o nią zabiega z drugiej zaś śmiertelnie się jej obawia. Nie jest to paradoks tak oczywisty, jakby się mogło wydawać. wać.

Wbrew twierdzeniom rozmaitych pseudosocjologów w kategoriach ekonomicznej świadomości nie należymy bowiem wcale mimo zbudowania nowoczesnego państwa do najbardziej nowoczesnych społeczeństw świata To znajomość tego faktu stała się podłożem wołania o przebudowę sposobu myślenia; wołania, które niknie obecnie coraz bardziej w jałowych sporach o szczegóły. Tymczasem bez zmian w myśleniu żadne teoretyczne wyliczenia nie przyniosą praktycznych efektów. Dodatkowym dylematem pozostaje przy tym fakt, iż działanie na świadomość to proces z reguły długotrwały, rozłożony na pokolenia, gdy nam tymczasem potrzeba zmian szybkich i dynamicznych.

Na tak często stawiane pytania: komu przeszkadza reforma, kto jest jej przeciwnikiem, gdzie tkwią rezerwy ludzkiej przedsiębiorczości? — odpowiedź tkwi w nas samych. No choćby planowany proces decentralizacji: nie tylko że organa administracji terenowej nie są do niego przygotowane, z braku wciąż jeszcze konkretnych rozwiązań prawnych, lecz przede wszystkim boją się odpowiedzialności z tytułu skorzystania z ukazanej szansy. W ogromnej większości chodzi tu o utrzymanie wygodnej struktury zależności pionowej która w przypadku błędu pozwala na odwołanie się do odpowiedzialności „góry" Średnia kadra zarządzająca jest w naszym kraju kastą ludzi w dużej mierze niekompetentnych, bojaźliwych,

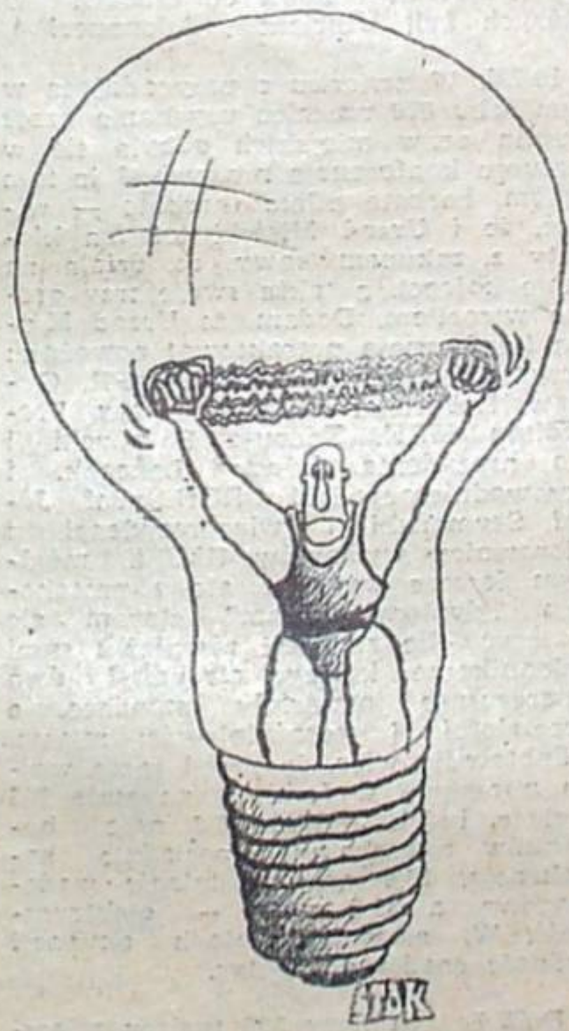

Rys. Andrzej Stok

pozbawionych energii — stanowi swoistą administracyjną „czapę" która gotowa jest skutecznie zablokować każdą zmianę, jeśli tylko wyczuje w niej osobiste zagrożenie. Postawa taka rozciąga się w konsekwencji szeroko i zaraża marazmem ogromne obszary ludzkich działań. Nie po raz pierwszy w historii przyklaskujemy burzy, byle tylko nas samych ominęła bokiem.

Zaistniała sytuacja ma swoje pierwsze źródło w (ciągle kulejącym) systemie promowania kadr. Dopóki nie stworzymy naturalnego klimatu promocji, kiedy to najlepsi będą mogli bez ograniczeń wkraczać w coraz to nowe obszary zawodowego awansu: wszystkie naprawdę głębokie przemiany okażą się niemożliwe. Temu celowi służyć ma bez wątpienia powiązanie płacy z efektywnością pracy. Nie wszędzie wszakże takie proste związki możliwe są do obiektywnej wyceny. Nie może to być przecież kalkulacja jedynie ilościowa. W przypadkach ocen jakościowych tymczasem sporządzają je ci sami niekompetentni i niechętni przemianom „decydenci" i w ten sposób zamyka się znowu jakieś kolejne błędne koło. Warto byłoby czasami prześledzić zawodowy los naszych „olimpijczyków", laureatów akcji Primus inter pares, posiadaczy „czerwonych" dyplomów...

Atestacja, nim jeszcze zdążyła wydać zamierzone owoce, już wyparowała ze słownika reformy. Zastąpiło ją o wiele bardziej rozwodnione i nieprecyzyjne pojęcie lustracji. Administracyjne cięcia etatów, choć bez wątpienia konieczne, nie mają nic wspólnego z odnową w myśleniu: pozostają zabiegiem wyłącznie ilościowym. Coraz szerzej reklamowane dokształcanie kadr kierowniczych ma niewątpliwie korzystny wpływ na podniesienie poziomu ich fachowości, lecz, niestety, niewielki na jej zdolność koncepcyjnego rozumowania. Stagnacja i nieadowład, bez rzeczywistych przewartościowań, pozostaną kamieniem u szyi, który pociągnie w otchłań niejedno jeszcze zupełnie zdrowe ekonomicznie przedsiębiorstwo.

Czy w takiej sytuacji dziwić może fakt, iż „przeciętnemu obywatelowi reforma kojarzy się przede wszystkim

Dokończenie na str. 8

Jako podchorąży, po szkole artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, zostałem zmobilizowany już 24 sierpnia 1939 roku.

Repr. Stanisław Papciak

Od Lwowa do Puław

Rozmowa z inżynierem Mieczysławem Kołodziejem

str. 3-4

Sztuka i pieniądz

Piotr Beck

PODCZAS gdy w ciągu ostatnich piętnastu lat wartość udziałów na amerykańskiej giełdzie wzrosła czterokrotnie, to cena płócien starych mistrzów malarstwa podskoczyła sześciokrotnie, w tym impresjonistów — piętnastokrotnie. Stwierdzenie, że sztuka to najlepsza lokata kapitału, znalazło w ten sposób swe pełne potwierdzenie. Istnieją firmy ubezpieczeniowe, które nie inwestują obecnie w nic innego poza sztuką. Świat nigdy jeszcze nie wydawał się być tak bardzo cywilizowany, a jednocześnie nigdy jeszcze nie hołubił tak łapczywie wszystkiego, co stare i artystycznie nobliwe.

Zdecydowana większość kradzieży dzieł sztuki w naszym kraju kończy się odzyskaniem zagrabionych skarbów i osadzeniem sprawców w areszcie. Złodziei z Biecza tak sparaliżowała wartość skradzionego płótna, iż potracili głowy. Żaden przy tym rodzimy paser nie byłby w stanie poradzić sobie z podobnym nabytkiem. Dlatego gros krajowych „fachowców" może jedynie śnić o przerzucie łupu za granicę; o światowej transakcji raz na zawsze rozwiązującej życiowe problemy. Najczęściej bywa to słodki sen o Londynie. Ceny na dzieła sztuki uzyskują bowiem na międzynarodowym rynku swój realny wymiar głównie w aukcyjnych salach. A dwie najsłynniejsze z nich to: Sotheby i Christie.

Stary Londyn, jeszcze przed stu laty finansowa i polityczna stolica świata zachodniego, dziś w niezliczonej sieci antykwariatów, lombardów i ulicznych stoisk dyktuje wymierną wartość niewymier-

Dokończenie na str. 9

z notatnika

1 IX. 48 rocznica wybuchu drugiej wojny światowej... Za dwa lata minie pół wieku od dnia napaści hitlerowców na Polskę.

Z komunikatów radiowych pamiętam głos Tadeusza Bocheńskiego i tajemnicze „koma trzy przeszedł". Wypowiedzenie w dniu 3 września przez Anglię i Francję wojny Niemcom wywołało w Chełmie olbrzymią falę entuzjazmu. Kto wtedy przypuszczał, że na zwycięstwo będziemy czekać do 1945 roku?

Redakcja „Kameny", mieszcząca się wówczas przy ul. Reformackiej 43 (w Chełmie), czyli w drewnianym domku, w którym zajmowaliśmy trzy pokoje (my — to znaczy nasza rodzina, redakcja, powiedziałbym, była w roli „sublokatora") przeżyła wówczas istną inwazję literatów. Jalu Kurek pożyczał ode mnie, dziesięcioletniego chłopca, brukowe „Lordy Listery", „Bufallo Bille", „Harry Diksony" twierdząc, że ta lektura najbardziej go teraz odprężą. Stanisław Wasylewski spał wraz z żoną na niewygodnej kozetce. Adam Polewka zdobył gdzieś na mieście głowę cielęcą, której nikt nie umiał wyjąć oczu... Takie szczególiki najbardziej wbiły mi się w pamięć. Do dziś mam też przed oczyma męską sylwetkę Wandy Wasilewskiej, która chciała spotkać się z mym Ojcem, ale ten udał się wówczas na wędrówkę wołyńską (w myśl ówczesnych bardzo pochopnych zarządzeń). Wrócił przed wkroczeniem do Chełma Armii Czerwonej. Nie skorzystał z propozycji miejscowych komunistów, którzy jego, bezpartyjnego, chcieli zrobić prezydentem miasta. Może dlatego przeżył wojnę, choć nie uniknął hitlerowskiego obozu koncentracyjnego....

Armia Czerwona wkrótce wycofała się za linię Bugu. Chełm zajęli Niemcy i zaczęli zaprowadzać swoje porządki. Większość literatów wraz z wojskami radzieckimi też ewakuowała się na wschód i południe, wielu spośród nich znalazło się we Lwowie, różnie ułożyły się ich późniejsze losy...

3 IX. Jerzy Wilmański, pisarz polski zamieszkały w mieście Łodzi (podkreślam te słowa szczególnie, bo bardzo nie lubię, gdy się np. stwierdza: „pisarz łódzki" czy „pisarz lubelski") przysłał mi z piękną dedykacją swój ostatni tomik poetycki „Pożegnanie karnawału", będący jakby wyborem dorobku autora. Serdecznie dziękuję zwłaszcza że i lubię i cenię twórczość Wilmańskiego. Zdumiał mnie, jednak nakład tomiku (no, można mówić t o m, bądź co bądź 187 stron!) — 1000+300 egzemplarzy. Dla kogo właściwie wydaje się książkę? Dla przyjaciół i kolegów pisarza? Wilmański i jako poeta, i jako człowiek jest bardzo komunikatywny, jego wiersze czyta się z prawdziwą przyjemnością, choć często budzą one różne refleksje. Jak np. ten pt. „Nie odbieraj mi szaleństwa":

Nie odbieraj mi szaleństwa
życie moje

Ani nocy zadyszanych
ani dni przegranych głupio
nie odbieraj
życie moje
Gdy odejdę w długi sen
przecież wszystko -ci zostawię:
książki, sprzęty ludzki żal

A zabiorę w tamtą stronę
tylko trochę tych uniesień
garść miłości
wspomnień trochę

Nie odbieraj mi szaleństwa
życie moje

4 IX. Bardzo tragiczny był wczorajszy dzień dla Warszawy. W dwóch wypadkach — tramwajowym i kolejowym zginęło trzynaście osób, ponad sto odniosło obrażenia. Dla ofiary nie ma znaczenia, czy ginie w samolocie czy w tramwaju lub w pociągu. W samolocie zwykle giną wszyscy, w tramwaju lub w pociągu większość pasażerów uchodzi z życiem, ale to żadna pociecha — ze środków masowej komunikacji na ziemi korzystamy częściej i każdy z nas mógłby się znaleźć właśnie w t y m tramwaju czy w t a m t y m pociągu...

(Dopisuję z reportażu pt. „Tragiczny dzień" zamieszczonego w „Tak i Nie": „To kiedyś musiało nastąpić (...) Motorniczowie uważali ten rozjazd za najgorszy w Warszawie. Taki ruch i ręczna zwrotnica. Obok jest zajezdnia, niedaleko tramwajowy zakład remontowy. Dlaczego więc tory przekładano ręcznie, wajchą? (...) Dlaczego [motorniczy] skręcił, czego nie spojrzał na tory? Przecież musiałby zauważyć, że zwrotnica jest przestawiona na Młynarską. Odpowiedź na te pytania muszą znaleźć prowadzący dochodzenie. Warszawska Wola natomiast już nazajutrz mówiła o tym, że motorniczych szkolą na łapu-capu i puszczają w wielkie miasto, a oni tłuką nadgodziny, bo wtedy można zarobić kokosy. Tylko, że jak jeździ się dwanaście godzin, to ledwo się tory widzi". Kto wihlen? Śmiem wątpić, czy t y l k o motorniczy!)

6 IX. Wspomniałem o kolejnej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Dziś inna smutna rocznica: mija czternaście lat od dnia śmierci mego Ojca, założyciela „Kameny", Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. W wierszu, który pisał dwa lata przed śmiercią pt. „Gramatyka", czytam:

Jeszcze mówię o sobie
W pierwszej osobie:
stałem na tatrzańskim szczycie,
kocham słoneczny pył,
wstanę o świcie.

Jutro,
kto nie zapomni,
w trzeciej osobie powie o mnie:
żył.

Ta g r a m a t y k a nas wszystkich dotyczy. Im człowiek starszy, tym mniej zwraca uwagi na różne intrygi i podchody, bawi go (choć i dziwi) pazerność jednych, mściwość drugich, zazdrość trzecich, głupota czwartych, wielkopaństwo piątych... Koniec i tak jest jednaki. Stawiam kropkę, bo wpadnę w banał.

9 IX. Papież Jan Paweł II rozpoczyna jutro swą kolejną, już trzydziestą szóstą, podróż zagraniczną, a drugą już — do Stanów Zjednoczonych. Trasa całej podróży wynosi 30 tysięcy kilometrów, będzie ją obsługiwać aż 18 700 dziennikarzy.

Komentatorzy zwracają uwagę na fakt, że będzie to trudna podróż. Wśród amerykańskich katolików istnieją różne podziały na tle kontroli urodzeń, przerywania ciąży, rozwodów, homoseksualizmu, dopuszczalności używania pigułek antykoncepcyjnych, roli kobiet w Kościele, a także spraw wojny, pokoju, sprawiedliwości społecznej etc. Dlatego też każde słowo papieża będzie śledzone z wielką uwagą.

Znamienne, że prasa włoska i amerykańska porusza problem wysokich kosztów papieskiej wizyty w USA, które w sumie mają wynieść ponad 30 milionów dolarów. „Wall Street Journal" stwierdza np. bez ogródek: „Katolicy, choć oczekujący wizyty papieża, wyrażają jednak obiekcje, że wystąpienia tak kosztowne są prostackie, i że zebrane na ten cel pieniądze mogłyby być lepiej wykorzystane — na pomoc dla chorych i biednych".

Polemizując z tego typu opiniami, przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich w USA arc. May stwierdził, że producenci piwa czy papierosów więcej wydają w USA na reklamę swych wyrobów, a poza tym w gruncie rzeczy w przeliczeniu chodzi o 50 centów na każdego katolika amerykańskiego.

Znamienne, że do tego typu dyskusji w ogóle dochodzi... Ale Amerykanie słyną z tego, że umieją liczyć pieniądze!

Tymczasem w Europie jesteśmy świadkami innej wizyty, być może o historycznym znaczeniu: przywódca NRD, Erich Honecker, oficjalnie odwiedza drugie państwo niemieckie i witany jest z wszelkimi honorami łącznie z odegraniem hymnu NRD przed Urzędem Kanclerskim. Jakże się ten świat zmienił od czasów, w których żyli Ulbricht i Adenauer!

10 IX. W związku z przypadającą w tym roku 670 rocznicą uzyskania przez Lublin praw miejskich odbyła się w Ratuszu konferencja prasowa. I ja tam byłem, herbatę piłem (herbatę — widać, że i Urząd Miejski też ma kłopoty z zakupem kawy, co działa na mnie kojąco), a także swoje trzy grosze wtrąciłem. Dodam, że Urząd Miasta konferencję potraktował poważnie: przybył i I sekretarz KM PZPR, Gustaw Rębacz, i przewodniczący Prezydium MRN, Tadeusz Pokrzycki, i p.o. prezydenta, Edward Leńczuk, i przewodniczący RM PRON prof. Józef Szymański, i wiceprezydenci, i kierownicy wydziałów UM i... mógłbym jeszcze wyliczać, ale z protokołem „dyplomatycznym" staram się walczyć. Nie zawiedli również i sami dziennikarze, którzy otrzymali dwa interesujące materiały mówiące o przeszłości i teraźniejszości miasta. Odnotowuję więc, że przed samą wojną mieszkało w Lublinie na stałe 122 tysiące ludzi. Jedynie 8,2 proc. budynków mieszkalnych posiadało kanalizację, 18,4 proc. instalację wodociągową, a 35,6 proc. — elektryczność. W ostatnich latach okupacji ludność spadła do 80 tys.

Dziś Lublin liczy 320 tysięcy mieszkańców, jego obszar w stosunku do czasów przedwojennych zwiększył się czterokrotnie. Ma więc racje Gustaw Rębacz gdy mówi, że nastąpił bezprecedensowy rozwój miasta w jego dotychczasowych dziejach. Inną rzecz, że ludność Lublina to w dużej mierze ludność napływowa, która często jeszcze z miastem się nie identyfikuje. Towarzystwo Miłośników Lublina liczy zaledwie pół tysiąca członków. (Może się o nich mało stara, ale to problem odrębny.)

Dla mnie osobiście, czemu dałem wyraz w dyskusji, liczba 670 nie jest liczbą szczególną. Rozumiem: 650 (dwadzieścia lat temu Lublin święcił ów jubileusz i, jak pamiętam, wiele miejsca poświęciliśmy mu na łamach „Kameny"), trudno jednak urządzać jubileusze co dziesięć—dwadzieścia lat. Ripostowano ze strony urzędowej, że obecny jubileusz świętuje się na roboczo, chodzi o wzmożenie czynów społecznych i że Gdynia np. obchodziła 60-lecie. Nie będę specjalnie kruszyć kopii. Niemniej zauważyłem, że dla mnie swoistym pomnikiem owego 670-lecia jest zdewastowana od pół roku część osiedla im. Sienkiewicza. Jakieś tam rury ciągnie się i ciągnie, robotnicy pojawiają się na dzień, dwa i znikają, a wszystko to dzieje się pod oknami prezesa LSM. Później się jednak dowiedziałem, że prezes zdążył się już wyprowadzić gdzie indziej, no ale to nie powinno go zwalniać przynajmniej od poganiania kogo tam trzeba. Poparł mnie przedstawiciel radia, przytaczając przykłady innych wykopów: pomników 670-lecia znalazłoby się więcej. Dostało się i gastronomii, zwłaszcza tej tzw. małej, której po prostu w Lublinie nie ma, zabrzmiała też nuta nostalgii za dawną „Europą" (restauracją), która karmiła i dobrze, i tanio. Owczesne zrazy po nelsońsku mogą jeszcze dziś śnić się po nocach. Teraz jednak i kuchnia nie ta, a i konsumenci również. Większość dawnych bywalców sama stała się już pokarmem dla robaczków.

Konferencja prasowa nabrała więc rzeczywiście roboczego charakteru, p.o. prezydenta wszystko skrzętnie notował, zobaczymy teraz, jak nasze uwagi w praktyce wykorzysta.

11 IX. Znalazłem takie dane w „The Times": drewno jest naszym jedynym odnawialnym surowcem; węgiel, uran i ropa naftowa w końcu wyczerpią się, ropa najprawdopodobniej za pięćdziesiąt lat. Aby sprostać przyszłemu zapotrzebowaniu, trzeba sadzić drzewa już teraz. Drzewa iglaste, ażeby dojrzeć, potrzebują pięćdziesięciu lat, a wysokiej jakości twarde drzewa prawie... stu pięćdziesięciu lat...

Sto pięćdziesiąt lat! Ile to ludzkich pokoleń?!

12 IX. W Pekinie rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję przeciwko wszelkim przejawom wykroczeń w stolicy. Jak donosi agencja Reutera, wraz z zawodowymi przestępcami ofiarami operacji padają uliczni hazardziści, grupy muzyki pop i... właściciele psów. Trzymanie tych zwierząt w Pekinie jest zabronione z wyjątkiem domów cudzoziemców i kilku uprzywilejowanych rodzin chińskich.

Bardzo się cieszę, że nie jestem Chińczykiem zamieszkałym w Pekinie. Mógłbym siedzieć za mego Amisia...

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

■ Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zamościu, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich i PP „Dom Książki" w Lublinie organizują we wrześniu I Zamojskie Spotkania z Literaturą. Do udziału zaproszono: „Naszą Księgarnię" i Wydawnictwo MON które swój jubileusz 40-lecia będzie obchodzić właśnie w Zamościu. W programie imprezy: kiermasze, wystawy i spotkania autorskie.

■ Wystawę poplenerową w Zamojskim KMPiK zorganizowało Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych z Lublina. Zaprezentowano 45 prac dotyczących naszego regionu.

■ Odnotowujemy fakt ukazania się pierwszego numeru „Białskopodlaskiego biuletynu kulturalnego". Wydawca jest Wojewódzki Dom Kultury który kieruje go zarówno do pracowników kultury jak i do szerokiego grona odbiorców. Inicjatywa ze wszech miar godna poparcia.

■ Na III Ogólnopolski Konkurs Kowalstwa Ludowego i Artystycznego przyjechali rzemieślnicy-artyści z 8 województw. Konkurs odbył się w Wojciechowie. Najlepszy okazał się Zbigniew Kulawa z Włodzimierki (woj. włocławskie), drugie miejsce zajął Andrzej Kowalczyk z Zakopanego a trzecie — Mieczysław Zaniewski z Płońska (woj. warszawskie). Stefan Jabłoński z Szańca (woj. kieleckie) okazał się najlepszy w kategorii mistrz—uczeń zaś Roman Czerniec z Wojciechowa otrzymał puchar ufundowany przez redakcję „Naszej Wsi" i nagrodę specjalną. Zorganizowano kiermasz wyrobów sztuki ludowej. Wystąpiły kapele z Wojciechowa i Milejowa, miejscowa orkiestra dęta OSP oraz kabaret z Urzędowa.

■ W Nowowołyńsku (przygraniczne miasto górnicze w USRR) przebywał chór zamojskiego WDK pod dyrekcją Alicji Saturskiej, który został zaproszony do udziału w festiwalu, poświęconego pieśni i muzyce robotniczej. Zamościanie zdobyli nagrodę specjalną. Gratulujemy!

■ Muzeum Okręgowe w Białej Podlaskiej zorganizowało wystawę strojów i ozdób mieszkańców Azji. Eksponaty zostały udostępnione przez warszawskie Muzeum Etnograficzne.

■ Teatr im. J. Osterwy zagrał mało jeszcze znaną sztukę „Dusia, Ryba, Wal i Lęta" oraz wznowił „Białe małżeństwo". Rozpoczęto też próby dramatu W. Sieroszewskiego i Z. Kleszczyńskiego „Zamach".

■ Tegoroczne „Dni Brześcia" w Lublinie odbędą się w dniach 25—27 września.

■ Wydział Kultury i Sztuki UW oraz BWA z Lublina zorganizowały plener malarski. Oprócz artystów z krajów wzięli udział ich koledzy z Debreczyna (Węgry) i Plewen (Bułgaria). Plon pleneru zostanie pokazany podczas przyszłorocznej wystawy.

■ Lubelski Oddział Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej zorganizował w Kazimierzu warsztaty naukowe nt. programu polityki przewidzianej dla szkół ponadpodstawowych.

■ W Lubelskim KMPiK (ul. Grażyny 5) wystawiono prace namalowane przez członków Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych podczas tegorocznego Festiwalu Kapel i Śpiewaków.

■ We wrześniu Zespół Tańca Ludowego „Gracja" pod kierownictwem Adama Maruszaka koncertował w RFN, Belgii i Holandii.

■ Chór filharmonii, Zespół Pieśni i Tańca „Świtaź", plastycy i literaci z Łucka (USRR), wystąpili podczas Dni Kultury Wołyńskiej na Zamojszczyźnie.

■ Przez siedem dni września (13—20) podczas „Zamojskich Dni Muzyki '87" wystąpili: Chór Akademii Rolniczej w Lublinie z utworami Schuberta; Regina Smendzianka w utworach fortepianowych Fryderyka Chopina; S. Woytowicz i M. Dąbrowski z utworami Moniuszki, Cherubiniego i innych, Jolanta i Ryszard Osmolińscy z utworami Telemanna, Vivaldiego in. Odbył się koncert organowy z towarzyszeniem fletu z utworami m.in. Bacha i Glucka.

(kop)

Lubelskie sylwetki

Od Lwowa do Puław

Rozmowa z inż. Mieczysławem Kołodziejem

— Dwadzieścia jeden lat temu przeprowadziłem z panem pierwszy wywiad dla „Kameny", jakieś trzy tygodnie po oficjalnym otwarciu Zakładów Azotowych w Puławach przez Władysława Gomułkę i niedługo przed rozpoczęciem na terenie fabryki krajowego Sympozjum Artystów Plastyków Naukowców, które odbywając się pod wymownym hasłem: „Sztuka w zmieniającym się świecie", uznane zostało później za ważny fakt w powojennych dziejach naszej kultury „wysokiej" Nim usiedliśmy do zasadniczej rozmowy, w ten ciepły lipcowy wieczór 1966 roku oprowadził mnie pan po głównych obiektach zakładu, które lśniły stalą i aluminium, chromem i niklem błyskały różnokolorowymi światełkami, mruczały, sykały i bulgotały — jak przystało na najnowocześniejszą instalację przemysłową w Polsce i bodaj największą w świecie fabrykę nawozów sztucznych Będąc wyznawcą powszechnej wówczas religii technoscjentystycznej, propagowanej m. in. przez „Politykę" ze wzruszeniem gapiłem się na cuda i cudeńka, pilnie słuchając pańskich wyjaśnień, podawanych z uzasadnioną dumą człowieka pod którego kierownictwem od fundamentów wzniesiono, a następnie puszczono w ruch ten efektowny i pożyteczny organizm, ciągle zresztą rozbudowywany...

Fot. Stanisław Papciak

— Nie był pan odosobniony w swoich doznaniach. Niektórzy z uczestników wspomnianego sympozjum głosili serio, że fabryka jest ozdobą dookolnego pejzażu i swoją urodą, wyrosłą przecież z utylitarnej funkcji, degraduje takie na przykład dzieła sztuki, jak rzeźby.

— Ale co nam zostało z tych lat, panie inżynierze, skoro nie tak dawno sugerowano w prasie rozebranie fabryki na złom?! Dlatego, że jest skorodowana, przestarzała i wegetuje tylko dzięki dotacjom państwowym, jakby urągając reformie gospodarczej... Czekam odpowiedzi, bo choć stanowisko dyrektora „Azotów" opuścił pan w sierpniu 1979 roku, pracując następnie, do emerytury w 1976, w moskiewskiej centrali RWPG, to od pewnego czasu „fiacik" inżyniera Kołodzieja znów regularnie parkuje przed zakładową bramą nr 2, co pozwala sądzić, że los fabryki nadal interesuje jej pierwszego dyrektora.

— Szlag mnie trafiał, kiedy czytałem te mądrości dla ubogich! Czy autorzy takich sugestii zastanawiali się, jak fatalnie dotknęłaby nasze rolnictwo likwidacja puławskiego „bankruta", który daje przecież 40 procent krajowej produkcji nawozów sztucznych?! Poza tym, wbrew rozpowszechnianej opinii, pod względem technologicznym zakłady nie są znów takie przestarzałe, co ciekawsze, na wysłużonych „grubych instalacjach" produkuje się amoniak najlepiej i najtaniej w kraju. Oczywiście, fabryka wymaga modernizacji, wprowadzenia elektroniki i automatyzacji, a więc rozwiązań na pewno kosztownych, obliczanych na miliardy złotych i dziesiątki milionów dolarów, ale w końcu opłacalnych, gwarantujących znaczne podniesienie produkcji przy jednoczesnym zmniejszeniu: liczebności obsługi oraz zużycia energii i gazu ziemnego, który jest naszym podstawowym surowcem. W tym celu opracowano rozległy, racjonalny i odważny program rozwoju zakładów, który już jest realizowany i przynosi spodziewane efekty To, co możliwe, udoskonalamy własnymi siłami, starając się jednocześnie o niskoprocentowe kredyty inwestycyjne z Banku Światowego. Istnieją poważne szanse na uzyskanie tych środków Nie ulega wątpliwości, że po załamaniu produkcji w 1985 roku „Azoty" znów stanęły na pewniejszym gruncie.

— Ale jak doszło do tego załamania? Trudno uwierzyć, by stało się to z roku na rok...

— Otóż to! Produkcja zakładów zaczęła spadać już jedenaście lat temu, czyli wówczas, kiedy w całej polskiej gospodarce pojawiły się symptomy kryzysu. Proszę spojrzeć na ten wykres: krzywa produkcji wygląda na nim jak narciarski stok slalomowy, którego szczyt oznacza data 1976 roku, a fatalną „metę" — 1985.

— Na takiej stromiźnie można było i sprzęt zniszczyć, głowę rozwalić.

— Wiadomo, w latach siedemdziesiątych niejeden upadł na głowę. No bo z jaką to myślą zabierano puławskiej fabryce wypracowane przez nią środki dewizowe, uniemożliwiając eo ipso remontowanie i wymianę zużytych części instalacji chemicznych, pochodzących głównie z importu?! Czy nie zdawano sobie sprawy, że zaniedbanie takich zabiegów doprowadzi do korozji i zużycia aparatury ciągle eksploatowanych urządzeń, co w końcu osłabi moce produkcyjne zakładów?! Ten niedostatek nękał „Azoty" i później.

— Zauważę naiwnie, że przecież w tamtych latach gospodarką władali tzw. technokraci, pragmatyczni fachowcy...

— Fachowcy od nakazów, bezrozumnego zaciągania kredytów zagranicznych i wyprzedawania węgla na kilka lat naprzód. To środowisko nie tolerowało zarazem ludzi o szerszych horyzontach, z pewnym zacięciem humanistycznym, spychając ich na boczne tory życia społecznego.

— Z „Azotów" również odeszła centrala wcześniej grupa osób. A pan, co pan robił po roku 1976, z chwilą przejścia na emeryturę? Może pisał pan pamiętniki w swym warszawskim mieszkaniu?

— No nie! Przez dziesięć lat plątałem się po okolicznych lasach, zajmując się polowaniem i zbieraniem grzybków.

— Po okolicznych, to znaczy po puławskich lasach?

— Tak. Początkowo przebywałem w Bałtowie...

— ...szczególnie zapylonym przez „Azoty".

— Właśnie tam. Później siedziałem cztery i pół roku w gajówce nad Kurówką, na okrągło: lato, zima i tak dalej.

— I w ciągu tych dziesięciu lat nikomu nie przyszło na na myśl, by skorzystać z wielkiego doświadczenia inżyniera Kołodzieja, poprosić go o radę? No dobrze, dajmy temu spokój, tym bardziej, że znów znajduję pana w zakładach, ciągle w dobrej formie.

— Jestem tutaj, bo przyjąłem propozycję zatrudnienia, którą w 1985 roku złożył mi inżynier Józef Kijowski, mianowany wówczas dyrektorem komisarycznym fabryki, a od kilku miesięcy będący już „bezprzymiotnikowym" gospodarzem „Azotów", co także świadczy o polepszeniu kondycji przedsiębiorstwa.

— Zapewne dyrektor Kijowski umiejętnie wykorzystał słynne „trzy S" reformy gospodarczej...

— Widzi pan, tu przed dwoma laty można było stosować co najwyżej ułamek owej trójcy, która rzekomo czyni cuda w każdej sytuacji, a po prawdzie zdeterminowana jest przez szereg okoliczności: ekonomicznych i społecznych. Wtedy zaś fabryce brakowało podstawowego surowca i środków na sanację techniczną, ceny na nasze produkty były zamrożone, średnia płaca sięgała ledwie 16 tysięcy, a krakania o rychłym bankructwie zakładów jeszcze potęgowały wśród załogi nastroje rezygnacji i totalnej niemożności. W rezultacie ludzie zaczęli odchodzić z „Azotów", co dla wielu nie stanowiło problemu na miarę „być albo nie być", jako że mieszkali na wsi i mogli utrzymać się z uprawiania ziemi. Jak niegdyś praca w fabryce przydawała prestiżu, tak w początkach lat osiemdziesiątych stała się czymś wręcz zawstydzającym. Powtarzam: najgorsze mamy już jednak za sobą, osiągamy całkiem dobre wyniki ekonomiczne. Naturalnie, wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

— Jak to się dzieje, że w 78 roku swojego życia jest pan ciągle pełen werwy, chęci działania, entuzjazmu, powiedziałbym nawet — harcerskiego entuzjazmu?!

— W rzeczy samej, ja byłem harcerzem. I pilotem szybowcowym, instruktorem narciarskim, sterniklem żeglarskim (teraz też). Ponadto fotografikiem, startującym równocześnie z Włodzimierzem Puchalskim podczas studiów w Politechnice Lwowskiej, które zresztą, za sprawą owych zainteresowań, wydłużyły mi się nieco, lecz przecież dały w końcu dyplom magistra inżyniera elektryka.

— To wy lwowiak?

— Rodowity, z rodziny kompletnie nauczycielskiej. Ojciec i matka wykształcili kilkadziesiąt roczników młodzieży

— O ile wiem, do Puław przyjechał pan, 1 maja 1969 roku, ze Śląska?

— W 1923 rodzice wraz z czworgiem dzieci przenieśli się do Katowic-Załęża, w ramach akcji repolonizacyjnej Górnego Śląska. Ojciec został kierownikiem szkoły podstawowej nr 21, gdzie też i matka nauczała, aż do emerytury, natomiast ja kontynuowałem edukację w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym.

— Jak na Śląsku przyjęto galicyjskich kresowiaków?

— Początkowo traktowano nas jak obcych, zwąc „gorolami" lub „władkami". Miejscowych drażniło obsadzanie stanowisk ludźmi z innych regionów kraju, którzy na domiar wszystkiego posługiwali się odmienną polszczyzną. Ale z czasem nieufność ustąpiła, poprzez szkołę i harcerstwo zatarły się różnice kulturowe. Katowicki pogrzeb mojego ojca w roku 1956 stał się manifestacją jego wychowanków, tłumnie przybyłych na cmentarz... Proszę spojrzeć na tę przyciemnioną, nie nadającą się do reprodukcji fotografię z połowy lat dwudziestych: tu stoi ojciec, obok ja, tutaj pani Jordan, komendantka Chorągwi Śląskiej ZHP, nie opodal harcmistrz Łowiński, a wokół grupa harcerzy — synów górników z kopalni „Kleofas" Prawie wszyscy ci młodzi ludzie zostali później rozstrzelani przez hitlerowców.

— Po maturze wrócił pan do Lwowa?

— W 1929 roku, by podjąć studia politechniczne i zająć się tym, o czym już mówiłem. Sporo satysfakcji przyniosła mi fotografia: brałem udział w krajowych i zagranicznych wystawach studenckich, pilnie śledziłem twórczość Jana Bułhaka i Antoniego Wieczorka, zaczytując się w pismach pierwszego z nich, kreatora polskiej fotografii artystycznej. Żywo interesowałem się też izohelią, nową techniką, którą wynalazł prof. Witold Romer, syn Eugeniusza, wybitnego geografa i kartografa. Tak mnie to wzięło że wreszcie, jako pierwszy, uprościłem skomplikowany i czuły proces technologiczny, opracowany przez Romera. Po latach izohelia rozpowszechniła się, a ja straciłem sporo materiałów o wartości dokumentów, które w dobrej, dydaktycznej wierze puściłem „po sali" na spotkaniu z fotografikami lubelskimi. Przynajmniej połowa tych przyczynków do dziejów izohelii w Polsce już do mnie nie wróciła Pieprzu sprawie dodaje fakt, że spotkanie to odbyło się na prośbę lublinian.

— Nie interesował się pan polityką?

— Wolałem żeglarstwo. Tym pytaniem wywołał pan przecież z mojej pamięci pewien fakt z 1935 roku, o którym warto chyba wspomnieć. Otóż pewnego ranka zbudził mnie tumult za oknami pokoju, z którego to wrzasku wybijał się jeden skandowany okrzyk: „Zdechł dyktator!". Tak przyjęli śmierć Piłsudskiego endeccy studenci.

— Wybuchła wojna, a co to znaczyło dla Lwowa, wiadomo...

— Jako podchorąży, po szkole artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, zostałem zmobilizowany już 24 sierpnia 1939 roku. Ponieważ wcześniej pracowałem na stanowisku asystenta w Mechanicznej Stacji Doświadczalnej, mającej programowe powiązania z armią, szybko doczekałem się, wbrew mojej woli, reklamacji. Wróciłem do cywila, 7 września ożeniłem się, a cztery dni później zgłosiłem ochotniczo do wojska. Skierowany do jednostki, z której niewiele już pozostało, razem z pewnym kapitanem sformowałem oddział 140 ludzi, uzbrojonych raptem w 40 karabinów. Ruszyliśmy na wschód, w kierunku Stanisławowa, gdzie zaczęli nas ostrzeliwać nacjonaliści ukraińscy. Co było robić, rozpuściliśmy wojsko. W końcu zostałem internowany i wraz z innymi żołnierzami polskimi powieziony koleją na północny wschód, gdzie mrozy tęgie panują. Na szczęście nie dotarliśmy tam, lądując ostatecznie w obozie pracy pod Lwowem, skąd uciekłem już pierwszej nocy i pieszo przedostałem się do rodzinnego miasta. I, jakoś się żyło. Zostałem asystentem w katedrze teorii mechanizmów i maszyn w mojej dawnej uczelni, przemianowanej na Instytut Politechniczny, żona urodziła syna... To wszystko załamało się po wkroczeniu Niemców

Dokończenie na str. 4

Od Lwowa do Puław

Dokończenie ze str. 3

do Lwowa. Likwidacja wyższych uczelni i szkół średnich zmusiła mnie do imania się różnych robót zarobkowych. Między innymi byłem elektromonterem, wreszcie — fotooperatorem w prywatnym zakładzie fotograficznym. Zatrzymany w łapance w Czortkowie, gdzie okresowo przebywałem, przesiedziałem cztery miesiące w więzieniu, gdzie o mało nie zmarłem na tyfus plamisty. Ukraiński lekarz, były major Wojska Polskiego, w ogóle fajny chłop, poinformował pewnego dnia moją żonę, że „jutro mąż będzie w kostnicy". Jakoś jednak z tego wyszedłem. Po wypędzeniu Niemców przez Armię Czerwoną, w 1944 roku, wróciłem do asystentury w Instytucie Politechnicznym, dorabiając jednocześnie w kooperatywie „Trudfoto". Mimo że namawiano mnie usilnie, bym pozostał we Lwowie na stałe, w 1945 roku spakowałem manatki i wraz z rodziną pojechałem do Katowic, gdzie ciągle mieszkali ojciec i matka.

— Pojawił się pan na Śląsku jako człowiek dorosły, z niemałym bagażem dramatycznych doświadczeń życiowych. Można więc przypuszczać, że niełatwo panu było odnaleźć wspólny język z tamtejszym środowiskiem społecznym, którego świadomość narodową z całą premedytacją próbowali deformować hitlerowcy.

— Skądże znowu! Znalazłem się wśród wspaniałych, pracowitych ludzi, dobrych Polaków, z którymi szybko dogadałem się na tej najważniejszej społecznie płaszczyźnie, jaką jest robota. Nie zapomnę naszej wspólnej radości, kiedy popłynął pierwszy karbid — 300-litrowy! — z odbudowanych pieców Zakładów Azotowych w Bobrku koło Bytomia, czyli już na Ziemiach Odzyskanych!

— I wtedy „popadł" pan w chemię?

— Przypadkowo, ale na dobre. Pracowałem ostro, wkrótce zostałem zastępcą dyrektora do spraw inwestycyjnych, a następnie dyrektorem naczelnym Zakładów Azotowych im. Pawła Findera w Chorzowie. O tak, tutaj załoga z pewną rezerwą odnosiła się do nowego szefa. Kiedy jednak zrobiłem to i owo, kiedy rozniosło się, że dyrektor, choć „na naszego nie wyglondo", to przecież „po noszymu godo", wtedy uznano mnie za swojego.

— Należał pan do jakiejś partii politycznej?

— W 1947 roku wstąpiłem do PPS, po zjednoczeniu ruchu robotniczego stałem się członkiem PZPR.

— Czy w Chorzowie, jak później w Puławach, dbał pan o to, by nie traktowano człowieka niczym „dodatku do maszyny"?

— Właśnie tam zacząłem rewidować zasady Taylora i Forda, wedle których zostałem wychowany. Zaangażowałem socjologa, psychologa, fizjologa pracy i z ich pomocą zorganizowałem kurs humanizacji pracy, w którym obowiązkowo uczestniczyli wszyscy kierownicy chorzowskich „Azotów".

— W tamtych latach budziło to chyba sensację...

— A tak, na nasze wykłady zaczęli wkrótce przychodzić pracownicy sąsiednich zakładów.

— W puławskiej fabryce też był socjolog, był psycholog, była nawet poradnia psychologiczna. Były czasy!

— W Chorzowie nie kończyło się oczywiście na zadaniu. Stary, niemiłosiernie eksploatowany przez Niemców zakład został wysprzątany i uporządkowany, dorobił się nowej łaźni, drogi, biblioteki, dwóch domów wczasowych i innych ośrodków wypoczynkowych, basenu... Pięknie rozwijał się sport i turystyka, żeglarstwo. Sądzę, że to wszystko miało też wpływ na wyniki produkcyjne, niezłe, skoro w 1958 roku zajęliśmy pierwsze miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie zakładów przemysłu chemicznego.

— Czy nadal interesował się pan fotografią?

— Był to mój najlepszy, najbardziej płodny okres. Swoje prace wystawiałem na całym świecie, nawet w Australii i Nowej Zelandii, zyskując dyplomy i medale oraz członkostwo FIAP. Działałem społecznie w Katowickim Towarzystwie Fotograficznym, do którego ciągle należę, ale już jako członek honorowy.

— Pełna egzotyka: artysta dyrektorem fabryki nawozów sztucznych! Kultura Puław też ma panu wiele do zawdzięczenia, choćby ten „Dom Chemika", w którym rozmawiamy. Budowano go co prawda bardzo długo, prawie szesnaście lat po położeniu kamienia węgielnego w 1968 roku, ale przecież jest, chwali się salą widowiskową na 540 miejsc, centrum komputerowym, marmurami i granitami hallów. Czy nie za wielki jest jednak ten dom kultury w stosunku do potrzeb 50-tysięcznego miasta?

— Nie, na pewno nie, a zresztą wszystko powino budować się z myślą o przyszłości, którą w tym przypadku określa niezbyt odległa w czasie wizja Puław 70-tysięcznych. Tą zasadą kierowałem się od pierwszych dni pobytu w mieście, które wtedy w 1960 roku, liczyło jakieś 14 tysięcy mieszkańców. Wraz z grupą współpracowników pragnąłem uniknąć tych błędów, jakie niegdyś popełniono w małych miejscowościach obdarzonych wielkim przemysłem, z którym nie szło w parze odpowiednio rozwinięte budownictwo mieszkaniowe, usługowe, służby zdrowia, kulturalne i sportowe. No i tego błędu nie popełniliśmy. Nie wdając się w szczegóły, powiem krótko, że na wspomnianą infrastrukturę Puław Zakłady Azotowe wydały w ciągu dwudziestu lat półtora miliarda złotych, czyli 15 procent kosztów fabryki. Niejednego z naszych obiektów mogą pozazdrościć znacznie liczniejsze miasta wojewódzkie. Zazdrościł nam nawet Lublin, niestety, czasami w sposób konkretny i skuteczny.

— Ale jest i druga strona medalu: pyły i gazy przemysłowe nad Puławami, zdegradowane lasy wokół „Azotów"...

— Chcąc wyrokować w tej sprawie, trzeba wiedzieć, że tylko kilka razy w roku wiatry wieją z kierunku zakładów na miasto. Niewspółmiernie mocniej zagrażają Puławom pyły i gazy z wielkiej elektrowni w Kozienicach, odległej co prawda o czterdzieści kilometrów, ale usytuowanej w prostej linii na zachód, skąd zwykle wieje ku nam. Jeśli chodzi o lasy: faktycznie niszczeją i niewielką pociechą jest, że głównie iglaste drzewa zamierają. Składają się na to różne przyczyny, przede wszystkim, oceniam, że w 60 procentach, znaczne obniżenie się wód gruntowych. Jakby jednak spojrzeć na sprawę, lepsza ochrona środowiska jest koniecznością. Istnieje już odpowiedni plan działania, tyle, że jego realizacja wymaga czterdziestu miliardów złotych.

— Można sądzić, że Kozienice zagrażają również Kazimierzowi nad Wisłą.

— Niewykluczone. Kazimierz — moja sympatia i gorycz. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych wystąpiliśmy z projektem wzniesienia w miasteczku, w miejscu wystarczająco odległym od rynku i stamtąd niewidocznym, zakładowego domu wczasowego, którego restauracja i kawiarnia celowo byłyby tak duże, by służyć turystom i mieszkańcom Kazimierza, który przecież cierpiał i nadal cierpi na brak odpowiedniej liczby lokali gastronomicznych. Projekt tego kompleksu zakładał również rekonstrukcję niemal zupełnie zrujnowanej „faktorii angielskiej". W zamian za zgodę na lokalizację domu zobowiązaliśmy się ponadto do udzielenia poważnej, kosztownej pomocy w renowacji i rekonstrukcji innych obiektów zabytkowych. Chcieliśmy wyposażyć miasto w nieodzowne instalacje komunalne... No i co? Przeciwko projektowi uruchomiono tak potężną kampanię prasową i tak „drożne" kanały urzędowe, że nim się obejrzeliśmy, już do „Azotów" przyspawano epitet „niszczyciela tradycji narodowej"! Po prostu odwrócono kota ogonem i fabrykę, która pragnęła uszanować i wspomóc ową tradycję, przemalowano na barbarzyńcę. Strzelano w projekt z grubej artyleri, argumentowano tak i siak, nie ujawniając jednak zasadniczego chyba powodu owej wrzawy, który wyłożył mi dopiero, mimochodem, ówczesny przewodniczący Komitetu Budownictwa, Urbanistyki i Architektury, członek zespołu ekspertów, powołanego na okoliczność sprawy. Otóż powiedział mi on po cichutku: „Po co pijani w kufajkach włóczyć się będą po Kazimierzu?!..." Przypuszczam, że to właśnie taki fałszywy stereotyp robotnika, obawa przed wpuszczeniem go na kazimierskie salony (?) stanowiły główną przyczynę ataku na projekt „Azotów". Zakłady wycofały się, tracąc dziesięć milionów złotych, które wyłożyły na rozpoczęcie inwestycji. Po latach nadal twierdzę, że zaniechanie budowy domu wczasowego fabryki na obrzeżach Kazimierza było błędem. Straciło na tym miasto, straciły Zakłady Azotowe, w pewnym stopniu straciła też lubelska FSC, która miała partycypować w inwestycji.

— Z całej naszej rozmowy wynika, że przywiązuje pan wielkie znaczenie do funkcji kulturowej i wychowawczej zakładów pracy?

— Naturalnie, bo w takim miejscu człowiek przebywa prawie codziennie, przez kilka godzin, tam wchodzi w różne relacje społeczne, kształtuje swoją postawę, obyczaje, określone nawyki. Tam najbardziej można człowieka albo wychować na przyzwoitego pracownika i obywatela, albo zdemoralizować. Nie dla ozdoby własnych życiorysów sprowadzaliśmy do „Azotów" Filharmonię Lubelską, Teatr Osterwy, urządzaliśmy plenery studentów ASP i sympozjum plastyczne. Prawda, nie zawsze byliśmy konsekwentni, nie wszystko nam się udało, ale to osobna i chyba zrozumiała sprawa.

— Ostatnie pytanie: jakie przymioty powinien posiadać dobry dyrektor przedsiębiorstwa czy instytucji?

— Kompetencje zawodowe, inicjatywę, pomysłowość, umiejętność wysłuchiwania racji pracowników, zdolność argumentacji, przekonanie o sensie własnego działania, urok osobisty i nieskazitelnie czyste ręce, sprawiedliwość w postępowaniu i szerokie horyzonty.

— Dziękuję za rozmowę. Trwała ona sześć godzin, dostarczając materiału nie na jeden, lecz bodaj na cztery wywiady o objętości takiej, jak obecnie publikowany.

Rozmawiał:
Ireneusz J. Kamiński

O ułanach, czołgach i kwiatach

DAWNIEJ to były tematy! Ułani, chłopcy malowani, stuk, stuk w okieneczko, daj buzi dzieweczko przy studni z rysującym niebo żurawiem, a potem popłacz sobie przed obrazem mistrza Kossaka, który na kasztanowych, bułanych, siwkach i jabłkowitych pięknie rozpędził naszych dzielnych szwoleżerów w wąwozie zielonym, równie udatnie przedstawiając panoramiczne theatrum bitwy pod Racławicami, pełne kolorów, ogni i dymków szarobłękitnych, białych sukman i kos na sztorc postawionych, jak kopie rycerzy z obrazów Ucella.

Dawniej to malarzom ręka drżała na myśl o takich wdzięcznych, choć krwawych tematach. Biorąc na warsztat coś takiego, można było wszystkie swoje talenta ujawnić, a i zyskać poklask szerokiej i elitarnej publiczności, która narodowym wzruszeniem zwilżała obrazy naszych dzielnych i tragicznych żołnierzy.

Dzisiaj, cóż — nie ma już chłopców malowanych, do przeszłości odeszły pułki w kolorowych mundurach, indywidualna dzielność i sprawność znajdujemy głównie w filmowych pojedynkach pana Wołodyjowskiego.

Współczesna strategia wojenna ubrała żołnierzy w mundury bezkolorowe, ochronne, podobne do siebie: zielonkawe, bure, szare, łaciate, tylko marynarka i lotnictwo mogą pozwolić sobie na granat, biel i błękit, zresztą nie zawsze. O powodzeniu w walce w przeważającym stopniu decyduje technika, ludzie kryją się w czołgach, wozach pancernych, łodziach atomowych, zamiast wywijać szabelką, naciskają guzik rakietowej wyrzutni, pytając uprzednio komputery, kiedy należy to zrobić. A czy z takim samym przejęciem można malować kilkadziesiąt ton czołgowej stali, jak żywą, czującą, inteligentną szkapę, dosiadaną przez smukłego kawalerzystę?!

Okazuje się, że można. Tematyka wojskowa do dziś nie straciła powabu w oczach wielu plastyków. Odwiedzają oni jednostki, poligony, uczestniczą w plenerach organizowanych przez armię. Jedni znajdują urodę w konstrukcjach nowoczesnej techniki i w specyficznej dramaturgii manewrów, inni śledzą przecież i analizują wątek człowieczy w tym coraz bardziej zmechanizowanym i skomputeryzowanym świecie. Pewna grupa malarzy i rzeźbiarzy przywołuje motywy z tradycji Wojska Polskiego.

Różne są rezultaty artystyczne i poznawcze tych zainteresowań, nieczęsto udaje się autorom wznieść na poziom twórczości Michała Byliny, którego zresztą wojsko ceniło, nagradzało, wspomagało, dostarczając materiały dokumentalne, potrzebne malarzowi.

Nasza armia w ogóle ma jakąś zdumiewającą słabość do sztuk plastycznych. Nie wystarczają jej efektowne przecież filmy i fotografie o wiadomej tematyce, ona wręcz domaga się obrazów, rzeźb, grafik i tkanin o treści wojskowej, fundując nagrody, stypendia i wydając grube miliony na zakupy prac, które umieszcza następnie w jednostkach wojskowych, dowództwach formacji i muzeach. Jest to mecenas konsekwentny i szczodry, rozwijający plastykę również przy pomocy sił własnych.

Na przełomie sierpnia i września w Lubelskim Domu Kultury pokazano właśnie niewielki fragment owej samodzielnej działalności artystycznej, autoryzowanej przez żołnierzy Warszawskiego Okręgu Wojskowego: Wojciecha Bałosa i Wojciecha Kotyńskiego (rzeźby w drewnie), Krzysztofa Sachy i Romana Dąbrowskiego (intarsje), Piotra Hornika, Romana Dudy i Bogdana Koronkiewicza (tkaniny), Jana Buczkowskiego, Jana Gajdura, Mariusza Capija, Krzysztofa Krzycha, Dariusza Smirnowa i Piotra Wisły (malarstwo).

Są to ludzie oczywiście młodzi, odbywający zasadniczą służbę wojskową, tylko trzech autorów posiada inny status (chorąży i dwóch podchorążych, ci ostatni po studiach plastycznych). Większość ukończyła licea plastyczne, dzięki temu trafiając do specjalnego „plutonu artystycznego" WOW. Warto wspomnieć, że oddział ten nie ma żadnych wyjątkowych uprawnień, należący doń żołnierze służby zasadniczej wystawiają warty, zdobywają sprawności wojskowe, słowem — częściej mają w dłoniach karabin, niż pędzel czy dłuto. Realizując w pracowni osobiste zainteresowania, zajmują się jednocześnie propagandą wizualną. I nie wolno o tym zapominać przy ocenianiu obrazów, rzeźb i tkanin, które pokazano w LDK.

Widzieliśmy tam rzeczy różne: znamionujące pewną dojrzałość warsztatową, to znów bardzo szkolne, nie pozbawione inwencji artystycznej, ale i sztampowe. Nie siląc się na jakieś wnikliwsze analizy, powiem krótko, że podobały mi się wszystkie tkaniny, pojedyncze obrazy i rzeźby oraz intarsja z głową konia.

Zaskoczyło mnie przecież coś innego: że tematyka wojskowa nie określała wszystkich prac wystawy. Były wśród nich pejzaże, tkane kwiaty, jedna martwa natura i jedna kompozycja abstrakcyjna, no i wspomniany motyw konia.

Widzę sens głębszy w tej swobodzie tematycznej.

K.

Zabawa w kino

Irena Filus

WPRAWDZIE od koszalińskich spotkań filmowych upłynęło już trochę czasu, ale ponieważ impreza okrzepła, nabrała nazbyt dużego rozmachu, można potraktować te wywody jako głos z przyszłości, która rysuje się dość mgliście. Hasło „Młodzi i film" przestało być w Koszalinie aktualne. Prawdę mówiąc, nawet nie dąży się do przywrócenia jego aktualności, w obawie o to, by spotkania nie stały się przeglądem debiutów. Debiut, jak wiadomo — śliskie słowo. Może nagle okazać się perełką, lecz wszystkim wiadomo, że perły są drogie, bo rzadkie. Więc zaprasza się na imprezę młodych reżyserów, filmy o ciągle modnej tematyce i nie starzejących się problemach. Taki sobie miszmasz, z którego wszyscy usiłują, już od piętnastu lat, znaleźć wyjście. Wymyśla się więc ciągle jakieś novum: a to nieprofesjonalne jury, a to Międzynarodowy Przegląd Filmów Dyplomowych i Absolutoryjnych w Łazach, a to liczne prezentacje opatrzone najprzeróżniejszymi hasłami. Towarzyszy temu wszystkiemu atmosfera podniecenia, sensacji, niepokoju, jak na większości festiwali, gdzie zwykle spotykają się ludzie z branży. Ich wspólny cel jest chyba najjaśniejszym punktem na mapie „Film polski".

Nie chcę po raz n-ty oceniać oglądanych filmów. Raz gorzej, raz lepiej pisała o nich cała prasa. Wystarczy odesłać kinomanów do któregoś z tygodników, czy też po prostu zalecić pójście do kina. Unikałabym jednak „młodych", „gniewnych" polskich filmów.

Po koszalińskich spotkaniach okazało się, że stawiać możemy jedynie na twórców już sprawdzonych, których policzyć można na palcach jednej ręki. I mimo starań panów reżyserów, polegających na wymyślaniu atrakcyjnych tytułów, pokazywaniu „golizny" itp., ludzie jakoś nie chcą tego oglądać i tłumnie wychodzą z seansów. Tak też było i w Koszalinie, gdzie pod koniec projekcji sala świeciła pustkami. Ta mniejszość, która pozostała, to, podejrzewam, sami twórcy, ich przyjaciele i ich wrogowie.

Posłużę się przykładem, moim zdaniem, najbardziej charakterystycznym i niemalże budzącym grozę. Tomasz Zygadło zaprezentował publiczności swe „epokowe dzieło" zatytułowane: „Śmierć Johna L.". Gdyby się komuś wydawało, że jest to biografia Lennona czy też socjologiczno-psychologiczne rozważania na temat gwiazdorstwa, to by się grubo pomylił. Bohaterem filmu nie jest żaden tam John L. tylko po prostu Wojtek Gąsior, podstarzały gwiazdor muzyki rockowej, który, o dziwo, zaczyna, mając lat trzydzieści pięć... myśleć. Może by nawet coś z tego myślenia wyniknęło, gdyby nie życie, które zostało od początku do końca wymyślone i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Panu Zygadle, który zresztą sam napisał scenariusz do swojego filmu, wydaje się, że wypowiadanie słów mających na celu zaszokowanie innych jest bardzo odkrywcze. Podobnie usiłował szokować podczas dyskusji „Szczerość za szczerość" odpierając zarzuty z wielką pewnością siebie i bez odrobiny samokrytycyzmu. Jak twierdził jego, jako twórcę, zadowala zupełnie dwuosobowa publiczność, a także: „po to istnieje państwowy mecenat, żeby dawał pieniądze na zachcianki". Gdyby to ode mnie zależało, przez najbliższe dwa lata nie pozwoliłabym panu Zygadle robić jakichkolwiek filmów, a czas ten mógłby wykorzystać na głębsze przemyślenia. Bo „dzieło", które widzieliśmy na ekranie, nie miało nic wspólnego ze sztuką filmową, od początku do końca nieudane, i od strony tekstowej, i warsztatu filmowego. To, co może zwabić do kina publiczność, to jedynie obsesyjne majaki seksualne autora scenariusza, co przy braku wydawnictw pornograficznych w Polsce uzupełnia niejako niedostatki duchowych potrzeb części społeczeństwa.

A najdziwniejsze jest to, że zarzuty stawiane twórcom podczas „dyskusji szczerości" były niezmiernie delikatne, każdy bał się nawzajem urazić i tylko jednej nocy usłyszałam głos młodego kinomana, który stwierdził, iż kino polskie nikomu nie służy, niczego nie dotyczy, a twórcy za państwowe pieniądze urządzają sobie zabawę. I uznałam to za głos sumujący stan rodzimej kinematografii, bo odnosi się do wszystkich obrazów pokazywanych w Koszalinie, tym bardziej, że mieliśmy okazję porównania z filmami przywiezionymi przez naszych sąsiadów: Czechów, Węgrów i Rosjan, których dzieła oparte o rzetelny warsztat, a co więcej nie wydumane problemy, ogląda się z zainteresowaniem i, co najważniejsze, do końca. Dla nich chociażby warto przyjechać do Koszalina i czegoś się nauczyć. W tym roku zwrócono szczególną uwagę na Młode Kino Radzieckie, organizując specjalny przegląd filmów, w większości nagrodzonych na zagranicznych festiwalach. Zobaczyliśmy więc osławioną „Pokutę" Tengiza Abuładze, „Włamywacza" Walerija Ogorodnikowa, „Plamę" Aleksandra Cabadze „Czy łatwo być młodym?" Jurisa Podnijeksa, „Święto Neptuna" Jurija Mamina, „Gońca" Karena Szachnazarowa oraz „Podróż do Sopotu" Nany Dżordżadze.

Poza tym wszystkim należy podkreślić, iż koszalińska impreza to nie tylko filmowe forum. Można tu spotkać takie sławy jak profesorowie: Bogdan Suchodolski, Jerzy Toeplitz, Henryk Jankowski. Z nadmiaru zajęć byłam tylko na wykładzie tego pierwszego, który mówił o twórczości i przyszłości człowieka. Obecni na sali usłyszeli wiele mądrych słów wartych zapamiętania: Twórczość ludzka nie tylko stwarza nam nowe warunki istnienia, ale może i zagrażać. Działalność twórcza człowieka jest działalnością egotyczną i ekspresyjną. Nie widzi się w niej społeczeństwa, lecz siebie jako istotę tworzącą. Dlatego zamiast patrzeć na świat w kategoriach „ja i to" powinniśmy dążyć do kategorii „ja i ty". Jest to jedyna szansa na nawiązanie głębszego kontaktu z innymi ludźmi i wytworzenie właściwego stosunku do przyrody. Ale jak to czynić? Pytanie zostało bez odpowiedzi. Skierowano je również do polskich filmowców...

Ekran i widz

Okolice białego smoka

ALINĘ Szpak poznałem jesienią 1970 r. w Wrocławiu podczas ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora. Były to jeszcze te piękne czasy, kiedy w Polsce ludzie czuli do siebie sympatię, a na podobnych, jak wrocławska, imprezach kwitło życie towarzyskie: tworzyły się rozdyskutowane „kółka" i koleżeńskie „paczki"; po całodziennych spektaklach (do późnych godzin nocnych), siadywano w pokojach hotelowych...

Alina była szczupłą blondynką o specyficznym, ciętym i inteligentym rodzaju humoru; nosiła wielkie okulary oraz, sięgający ziemi, czarny aksamitny płaszcz który sama sobie uszyła, o czym mówiła nie bez pewnej dumy. Niedawno skończyła szkołę aktorską w Leningradzie, występowała na stałe w warszawskim „Ateneum", zagrała pierwszą epizodyczną rolę w „Brzezinie" Andrzeja Wajdy. Na Festiwal Teatrów Jednego Aktora przyjechała z przedstawieniem opartym na fragmentach „Ulissesa" Joyce'a. Przegadaliśmy — w gronie przyjaciół — długie godziny na temat kina Wajdy na temat „Teatru Otwartego"... W następnym roku Szpakówna wystąpiła na ekranie w wajdowskim „Krajobrazie po bitwie": po pewnym czasie związała się z krakowskim teatrem „STU". W kilka lat później doszła mnie wieść, że wyszła za mąż i wyjechała z kraju...

O dalszych losach Aliny dowiedziałem się w związku z wejściem na nasze ekrany polsko-amerykańskiego filmu „Biały smok" wyprodukowanego przez Zespół Filmowy „Perspektywa" oraz firmę „Legend Productions" z Los Angeles. Reżyserowali: Jerzy Domaradzki i Janusz Morgenstern, scenariusz zaś napisał amerykański aktor i pisarz Robert C. Fleet, a jedną z głównych ról w „Białym smoku" zagrał sześcioletni Stephan Szpak-Fleet, syn Aliny...

Otóż w drugiej połowie lat siedemdziesiątych przyjechał do Wrocławia na festiwal „Teatru Otwartego" amerykański stypendysta, Robert C. Fleet, poznał tam Alinę Szpak (co wkrótce zaowocowało małżeństwem), ale zachwycił się także regionem Gór Stołowych, dokąd uczestników festiwalu zawieziono podczas jednej z wycieczek. Ten ostatni fakt miał później zaważyć na powstaniu scenariusza oglądanego obecnie przez nas filmu.

Ale najpierw polsko-amerykańskie małżeństwo osiedliło się w Nowym Jorku i próbowało żyć z aktorstwa. Dawało to mierne skutki, bo w Stanach Zjednoczonych o „przebicie się" w świecie teatru jest niezwykle trudno. Potem Fleetowie (może to był pomysł Aliny, bo nasze rodaczki są za granicą niezmardowane, jeśli chodzi o życiową inwencję) przenieśli się do Los Angeles, blisko Hollywoodu, z zamiarem zaczęcia z zupełnie „innej beczki": postanowili zostać tzw. „niezależnymi producentami" filmowymi. To znaczy — przedsiębiorcami tworzącymi filmy „na własne ryzyko" w oparciu o kredyty bankowe czy też — uzyskane od prywatnych osób, „sprzedającymi" je później znanym wytwórniom lub firmom dystrybucyjnym. Nie posiadali prawie ani centa, a poza tym niewiele się rozeznawali w tym businessie. Robert C. Fleet skończył więc najpierw zaocznie roczny kurs analizy finansów i kredytów, Alina — na podobnym kursie — nauczyła się księgowości i posługiwania się komputerem. Równocześnie oboje pisali wspólnie scenariusze do przyszłych swoich filmów, a Alina urodziła jeszcze syna — Stephana.

Zaczęli od krótkich dokumentów w technice „video", firmowanych przez założone przez siebie przedsiębiorstwo „Legend Productions". Nikt ich jednak nie znał i nikt nie chciał zaryzykować dla nich pieniędzy na film fabularny. Wreszcie udało im się namówić jednego ze starszych aktorów, George'a Randalla, by ten wyłożył 470 tysięcy dolarów na realizację kameralnego filmu — według scenariusza Roberta C. Fleeta — „Bracia z dzikiego lasu". Była to historia przyjaźni chłopca i wilka w czasie samotnej wędrówki dziecka przez dzikie ostępy Gór Kalifornijskich; film z gatunku „rodzinnych" — dla widzów od lat siedmiu do siedemdziesięciu — i zresztą w sposób „rodzinny" nakręcony: występował w nim czteroletni syn Fleetów oraz Alina Szpak-Fleet.

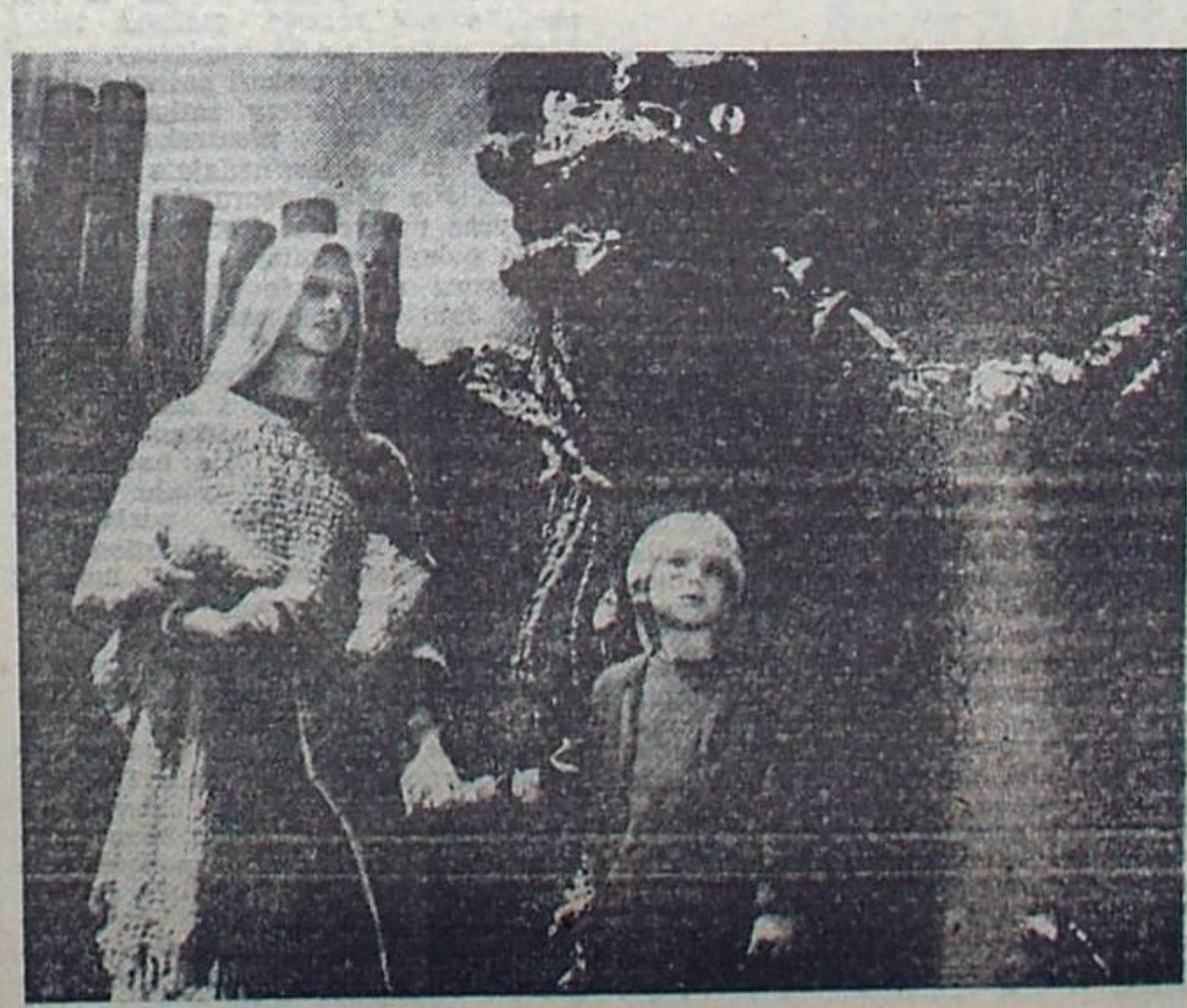

W dwa lata później firma „Legend Productions" mogła już wypłynąć na szersze wody: małżonkowie Fleet postanowili wyprodukować „Białego smoka". Ale ponieważ nie zdołaliby zgromadzić na tego rodzaju przedsięwzięcie odpowiedniej kwoty w dolarach, zaproponowali współpracę Polskim Zespołom Filmowym. Oni dawali scenariusz, taśmę negatywową oraz płacili honoraria aktorom amerykańskim, my — mieliśmy zadbać o resztę.

Podobnie jak „Bracia z dzikiego lasu", „Biały smok" jest filmem „rodzinnym"; utrzymaną w klimacie baśniowym opowieścią o przyjaźni małego chłopca (przybyłego wraz z ojcem, specjalistą od spraw ochrony przyrody, do umiejscowionej „gdzieś w Europie" górskiej krainy Karistan) i pięknej niewidomej dziewczyny, nad której bezpieczeństwem czuwa dobry smok, występujący na co dzień pod postacią dzikiego białego konia. Jest też, wychowująca piękną Jewel, niedobra wróżka, Alta oraz jej przyjaciel, Chińczyk Tai-Ching, którzy chcą zgładzić smoka, aby zyskać nieśmiertelność oraz strzeżone przez niego skarby. I jest również — niedobra amerykańska firma eksploatująca cenne minerały, która ma niecne zakusy na bogactwa naturalne Karistanu... Stąd baśń miesza się co krok w „Białym smoku" z filmem przygodowym, a film przygodowy z sensacyjnym, co powoduje, że nie zawsze ekranowa opowieść „trzy się kupy". A także zdjęcia trickowe (tutaj — bardzo ważne) grzeszą zbytnim prymitywizmem. Nie mówiąc już o samym smoku, przypominającym jakąś krzyżówkę... orła z ropuchą. Natomiast niewątpliwymi atutami filmu są — piękna przyroda Gór Stołowych, gdzie „Białego smoka" realizowano (tutaj, przypomnijmy, narodziła się przed laty „idea" tego filmu), doskonałe zdjęcia Ryszarda Lenczewskiego i niezwykle sympatyczna „aktorska osobowość" małego, jasnowłosego Stephana Szpak-Fleeta w roli Steve Martina. Poza nim grają jeszcze m. in.: Christopher Lloyd, znany u nas z roli profesora-wynalazcy w „Powrocie do przyszłości" Roberta Zemeckisa (Jim Martin, ojciec Steve'a), kruczowłosa Dee Wallace Stone (Alta) oraz złotowłosa Allison Balson (Jewel). Wśród polskich wykonawców wyróżnia się przede wszystkim Kazimierz Kaczor, kreujący postać superintendenta.

W sumie film, na który warto się wybrać i to wraz z dzieckiem, które szczególnie potrafi docenić urok „Białego smoka". A potem może zadumać się przez chwilę nad tym, że ktoś tam, żyjący w zupełnie innym świecie, u podnóża dalekich Gór Kalifornijskich, wciąż nie potrafi zapomnieć o pejzażu naszych polskich Gór Stołowych.

M. D.

Redagują: Marek Danielkiewicz, Łukasz Manzarek, Urszula Jaros, Bogumiła Sobótka, Adam Kalbarczyk.

Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.

STRONY KLUBU LITERACKIEGO ZLP

+

Sezon — gdy oddajemy ten numer do druku — jeszcze ogórkowy. Jedni odpoczywają, inni piszą do nas listy. Czytamy je systematycznie i staramy się odpowiadać na wszystkie pytania i prośby. Prosimy, by czytelnicy zrozumieli, że nie pracujemy na tzw. etatach.

Zapewniamy naszych korespondentów, że odpiszemy na listy w najbliższym czasie, gdyż postanowiliśmy w tym roku nie brać urlopów. Cierpliwości!

Robimy, co możemy, chociaż ciepło i niepewnie. Klimat w Lublinie mamy wprawdzie umiarkowany, lecz nic nie wiadomo do końca. Z przyjemnością podzielimy się niepewnością.

W obecnym numerze „Stron" proponujemy debiut Ireneusza Kiliana ze wsi Wyląg koło Kazimierza nad Wisłą, tłumaczenia z języka białoruskiego i ukraińskiego, Tadeusza Karabowicza.

Już przy redagowaniu tego numeru, „Stron" dowiedzieliśmy się, że pismo „Radar" przestaje się ukazywać. DZIĘKUJEMY ZA WIELOLETNI TRUD I ŻEGNAMY!

Redaktorzy „Stron"

Marek Danielkiewicz

* * *

Niekiedy widzę przyjaciół
usiłuję przypomnieć sobie
lekcje boksu
lekcje dykcji
wieczory zdrady

według wszelkiego prawdopodobieństwa
dostrzeliwacie we mnie nieszczęsnego mężczyznę
kołaczącego zwierzęta
wieszającego między łopatkami hak
— bo jeśli już zabraknie cokołu
wypada skorzystać z nadziei zawiśnięcia

* * *

Dobre czasy
dzieci sami sobie drukują
tatuaże poetyckie na piersiach
wyrywają ciemny zarost
karczują siebie pod poezję

Dla Petera Beneta

Ucieczka niechaj się wydaje monetą
obracając ją w palcach wycierasz miejsce
które nie stało się nigdy domem ani grobem
— nazbyt ponure miasto
by móc zaufać pamięci

Ucieczka niechaj prowadzi bezpiecznie
— tandetne buty i bolące nogi
Podcięte drzewa morwowe
w zapachu płonących ognisk przed domem w powoju

Nazbyt dobrze pamiętasz dzień
gdy miedziane płytki upadały w ziemię
jak zemdlony człowiek
— nikt nie podał ręki i nie skropił wodą

Nazbyt długo wierzyłeś że można odmienić
wszystko co już za Tobą lecz ma moc kamienia
Kobieta przez którą doświadczyłeś zdrady
sama się oddaliła
ktoś z niej wymiótł przeszłość i zwyczajnie zadrwił

* KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI *

Pod poprzeczką

OD jesieni ubiegłego roku zalega w księgarniach Lublina debiutancki arkusz poetycki Krzysztofa Wróbla zatytułowany „Jak ty", wydany staraniem Lokalnej Rady Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich. Niepozorna broszura przypomina barwą, kształtem i objętością bardziej zeszyt młodego ucznia, aniżeli książkę poetycką, przeto nie dziwi umieszczony na okładce napis: „Zeszyty poezji studenckiej, nr 1/1985". Co więcej, pełna lektura jest w stanie przekonać, jak sądzę, każdego, iż wyrażony w edytorskim podtytule status należy odnieść nie tylko do formalnej strony wydania, ale i — co smutne — do merytorycznej zawartości, o ile uzna się, że jego rodzaju określniki mają dla poezji jakąś wartość: sygnalizują pokoleniowy rodowód, problematykę etc. Skłaniając się do napisania tej recenzji — spóźnionej, acz nie w pełni — chciałbym rozwiać nadzieje niedoszłych czytelników i zaoszczędzić im niepotrzebnego rozczarowania.

Ten dwudziestotrzywierszowy blok nie daje pożywki dla intelektu, wyobraźni czy uczuć wyższych. Raczej wprost przeciwnie. Większość wierszy wzbudza niezdrowy niepokój ducha, momentami wręcz irytuje. Trudno z całości wyłuskać jakiś koncept ideowy: jest ona, mówiąc metaforycznie, szyta grubymi ściegami. Różnorodność motywów tematycznych, skromna zresztą w ilości jak i treści, idzie w parze krokiem chwiejnym z kontrastową tonacją uczuciową, zatrącającą nierzadko o fizjologię wyartykułowaną w aurze drastycyzmu. Raz gra instynktów, raz płytki refleks filozoficzny. Wszystko to razem rodzi, najdelikatniej określając, mieszane uczucia.

Albowiem jest w „liryce" Wróbla miejsce dla taniego prowokanctwa kaskaderów własnego losu („to mdłe powietrze pokoju/przechyla cię niebezpiecznie/na krawędź okna/raczy perspektywą bruku/bryłą ciała na bruku"), czegoś w rodzaju medyczno - sakralnego horroru („ostatnia wieczerza — z wiadra wystawała pępowinna/jeszcze się ruszałeś/ ginekologiczny stół zaścielono/świeżym obrusem"), seksu niemal w surrealistycznej konwencji („stary wiatrak/ skrzypiące skrzydła/wspinaczka/ściany schody/butwiejące drewno/próchno/łażące robaki (...) dyszące ciało/kapie płonąca świeca/rozchylone uda/roślinny splot/budzisz się/mokro/to nie twoje łóżko"), psychofizycznego fotografizmu („sen — nieruchomo/oczy palce/plecy/głowa/patrzy w ciemny kąt/ty ukrywasz się/ty ukrywasz się") metafizyki w porcji pigułkowej („kto jest — jest jedno życie — /w słowie niepełne/jest jedna śmierć —/w słowo przesadzona/jest jedna składnia — /jedna składnia"); ukoronowaniem zaś tego swoistego ogładu rzeczywistości jest taki oto obrazek, który bez zbędnych skrupułów można uznać za credo życiowe bractwa pod wezwaniem kielicha: „pewna filozofia — (...) to jest pokój/to stół krzesło, szafa/to twoje włosy, skóra, pot/to papierosy, a to filozofia/tu stoi i czeka/i patrzy tęsknie w niebo sufitu/patrzy żałkana korkiem/taka jest nieatrakcyjna/więc bierzesz ją odbijasz/nadajesz transcendencji". Nie wiem doprawdy, czy jest to wyraz poetyckiej ironii, adresowany do pokolenia autora, może do społeczeństwa czy może refleks autopsyjny. Jaki w ogóle sens ma „poezjowanie" w tym duchu?

Z całego arkusza jedynie trzy teksty godne są wyróżnienia i miana wierszy sensu stricto: „widzenie", „na gitarze", i „jak ty". Ale nawet one nie usprawiedliwiają tytułu. Przedstawiona przez Wróbla wizja alter ego jawi mi się jako oświetlone intuicją krzywe zwierciadło ludzkiej psyche. Pozostałe utwory — tak problematyką jak i warsztatowa obróbka — dalekie są od pułapu szczerze poruszającej liryki; sytuują się, by tak rzec, pod jej poprzeczką.

I jeszcze jedna uwaga. Omawiany arkusz sygnowany jest datą 1977—81. Truizmem wręcz będzie stwierdzenie, iż był to okres masowego nasilania się społeczno - politycznych emocji w naszym kraju. Stały się one źródłem licznych mutacji światopoglądowych pokoleń (zwłaszcza młodych), przewartościowań, nowych kreacji osobowych i twórczych. Dla tych spraw nie ma miejsca w poetyckich próbach Krzysztofa Wróbla. Smutny to fakt i nieobcy wielu innym łaknącym łask Kaliope.

Zenon Cieślak

Krzysztof Wróbel „Jak ty". Zeszyty poezji studenckiej, nr 1/1985. Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich w Lublinie (red. Donat Niewiadomski), nakł. 200 egz.

DEBIUT PŁACZ

Ireneusz Kilian

TEN dzień nadszedł niespodziewanie, a właściwie trudno by go było nazwać dniem — to jakieś pasmo niepojęte w swoim początku i zabłyśnięciu, jak nagle zerwana przykrywa, poszycie codzienności. Nadszedł na idealnie podatny grunt. Wszystko zdawało się być z góry przygotowane, będące jakimś potwornymi łożyskami, które zyskały wreszcie ramię. Zaczęła funkcjonować nagła stabilizacja jak coś oczywistego.

Kto miałby siłę wracać do tak niepojętego początku i szukać wyjaśnienia? — chyba nikt.

Właściwie wszędzie było tak samo, jakby zamknęły się wrota przeznaczenia po ostatecznym ustaleniu wszystkiego. Któż miałby myśleć o czymś tak oczywistym jak słońce? Dni stawały się podobne do tych bardzo odległych, pozaciąganych nieostrością i poulewnie napuchłych chwil zjawiających się w czasie dżdżów i towarzyszącego im przywiędłego wiatru.

Czymś naturalnym stał się płacz. Tak samo jak kichanie czy ziewanie wrósł w zakres ludzkiego istnienia. Czy ktoś oczekiwał jeszcze czegoś, czy tak naprawdę cieszył się z czegoś? — nie było wiadomo. Pojęcie rozpaczy, w dawnym tego słowa znaczeniu, nie funkcjonowało w ogóle. Czyżby również zniknął nieodzowny jej ciężar i żal? Było niepojętym, jak mogło się to przetransformować od tak niedawna.

Jak w jakichś finalnych aktach zapadła nieubłagalna kurtyna (ale dlaczego?), a przecież nikt nad tym się nie zastanawiał, nie próbował niczego, co dawniej nazywano poszukiwaniem uzasadnień.

Całe postrzeganie przypominało kondukt pogrzebowy, przeniesiony na całość egzystencji i dodatkowo widzianej poprzez okrutną szarość szkła.

Na ulicach zapanował płacz, przebijający się, wyrastający ponad ściszone rozmowy — górujący nad nimi jak głośna muzyka.

Szarość dodatkowo podsycały ubiory, ich barwy; nie było bieli, żółci czy czerwieni, jakby zapomniano o porach roku. Nie sposób było zauważyć różnic wieku w upodobnionym potoku.

Kilka miejsc było szczególnych — jak dworce kolejowe, tutaj płakali prawie wszyscy. Powszechna impotencja cechowała każdego.

Przeraźliwą, złowieszczą ciszę placzu z rzadka przerywał świst lokomotyw i zgrzyt kół, wtedy płacz przemieniał się niemalże w bydlęce wycie.

Któż mógł uciec we wspomnienia — tam nie było już miejsca?

„Róża jest różą”

Paweł Jaszczuk

Mogłby to być — pomyślał — początek kiepskiego filmu. Filmowy amant, przyjemniaczek, ubrany tak jak on w siwy garnitur ZPO Bytom, wybiega z naręczem kwiatów z kwiaciarni i...

Powie jej, oczywiście że powie. Setki razy robił to w myślach, planował od dawna, więc się nie zawaha.

Przeszedł przez skrzyżowanie. Kamera wyobraźni trzymała go w obiektywie: zamyślony ściskał w garści wymiętą pięćsetkę. Byłby ją wyrzucił jak bilet do kosza. W porę spostrzegł pomyłkę i cicho się zaśmiał.

Przypomniał sobie że lubiła kwiaty. Wyłącznie róże. „Róża jest różą, jest różą...” odurzała się bełkotem niemodnej już poetki. Kiedy wytknął jej, że jest sentymentalna, nie zaprzeczyła.

— Kocham róże — powiedziała i pocałowała go w oko. Lubił to. Nikt go w ten sposób przedtem nie całował. Tak, ale to było dawno, tak dawno, że drobne, nieistotne szczegóły zdążyły zatrzeć się w pamięci.

Przypomniał sobie, że każdy dzień tego upalnego sierpnia spędzał podobnie. Do południa plaża (smażył się w słońcu jak kotlet), potem obiad w obleganej przez snobów pizzerii „TO-TU”, a wieczorem, gdy upał zelżał, kupował bilet do kina lub szedł popatrzeć na tańczące w studenckiej dyskotece dziewczyny. Były to, przyznawał, błahe, zupełnie bez znaczenia, zajęcia. Opanowało go letnistwo tak leniwe, że nie miał sił ani ochoty czegokolwiek zmienić.

Wakacje przeleciały szybko. Nim spostrzegł, zostało kilka dni, dokładnie dziewięć, po których musiał wrócić na uczelnię, zaliczyć geologiczną praktykę. Wtedy ocknął się. Pluł sobie w brodę. Mógł skorzystać z propozycji Wieśka i wyjechać na OHP na Węgry, albo zaczepić się z „Juventurem” na wycieczkę do Indii. Miał szansę: wysoka średnia, a Wiesiek, ten farbowany lis, był szefem zarządu. Nie kiwnął palcem. Ambicja, którą wiele razy przeklął, kazała mu trzymać się od Wieśka z daleka. Potrzebna była legitymacja, kilka pieczątek i opinia o społecznej pracy. Urawniłowka zawsze budziła w nim sprzeciw.

— Nie ze mną Wiechu! — skwitował i przegiął w łokciu rękę. Przyrzekł sobie, że nigdy nie zapisze się do żadnej organizacji.

* * *

Minął boutique o kretyńskiej nazwie „GaG”, ten sam, w którym kupił dla niej różową broszkę z modeliny. Małe wymuskane cacko w kształcie litery „N”. N — jak Natalia. W uszach wyraźnie słyszał jej głos, gdy, przekrzykując ryk stojącego blisko nich głośnika, przedstawiła się: — Mam na imię Natalia. Podoba ci się?

Wzruszył wtedy ramionami. Nie, to imię — pomyślał — do niej nie pasuje. Nawet nazwał ją w duchu inaczej. Od tego dnia była jego Ewą. Parę minut przed północą urwali się z dyskoteki. Nie brali taksówki. W parku na wilgotnej od rosy ławce wściekle się z nią całował. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, lecz raczej świadomość kończących się wakacji.

Tej samej nocy, próbując zasnąć, przywoływał w myślach jej postać. Była ciemną blondynką nieznacznie tylko od niego niższą. Czuł jeszcze na sobie ciepło jej dużych, sprężystych piersi o jakich zawsze marzył i gorący oddech. Do tego obrazu dołączył sprośny, uniesiony lekko tyleczek, który podkreślały granatowe, sztruksowe spodnie. A twarz? Twarzy — tej nocy, mimo wysiłku, nie zdołał sobie przypomnieć.

* * *

Pchnął ciężkie, metalowe drzwi i znalazł się w środku kwiaciarni. Przy ladzie mała kolejka: zaledwie sześć osób. Uderzająca do głowy woń, mieszanina dziesiątków zapachów ze stojących w wazonach kwiatów. Storczyki, begonie, gerbery, żonkile i... Rozglądał się z obawą. Są. Zaledwie siedem. Siedem herbacianych róż, tuż obok ogromnego wazonu z mdłymi, żółtymi tulipanami i gęstym, jak las, asparagusem.

Dziewczyna sprzedająca kwiaty miała soczyste karminowe usta. Śledził jej ręce, marszczące się i spinające celofan. Urzekająco piękne dłonie: smukłe palce, zakończone długimi, przesadnie wypielęgnowanymi paznokciami.

Natalia nigdy nie malowała paznokci. Obcinała je krótko. Bardzo rzadko też, gdy ją do tego sprowokował, robiła makijaż: niedbale pastelowe cienie pod powiekami i kilka kresek kredką Yardley przedłużających brwi. To wszystko. Teraz, stojąc w kolejce po kwiaty, widział w Natalii coraz więcej wad. Była połączeniem samych wad, jak kolorowa i w efekcie nijaka tkanina.

— Proszę? — usłyszał zamyślony.

Teraz jego kolej. Rzucił wymiętą pięćsetkę na rozścielony arkusz białego papieru.

— Róże! — powiedział, nie podnosząc wzroku.

Nie zrozumiała.

— Ile? — ten sam śpiewny, dziewczęcy ton.

Między miękkimi wargami spostrzegł koniec różowego języka i równe białe zęby. Natalia miała inny głos, zachrypnięty i pozbawiony ciepła.

— Wszystkie! — zdecydował.

Rys. Grzegorz Urbaś

Musiał powiedzieć to jakimś szczególnym głosem, bo dziewczyna spojrzała na niego zalotnie. Zabrał szybko kwiaty i resztę. Zawstydzony, z bukietem siedmiu róż znalazł się na ulicy.

* * *

Któregoś dnia — przypomniał sobie — gdy odwiedził Natalię w ciasnym, dwupokojowym mieszkaniu (na ostatnim piętrze bloku, nazywanego w mieście „akwarium”) przestraszył się własnych myśli. Natalia była zwykła. Była zwykła, jak inne, mijane na ulicy dziewczyny. Oczywiście fakt, którego nie mógł dotychczas zrozumieć. Nie robił już na nim wrażenia jej uśmiech, ani „ich własny” pocałunek w oko na przywitanie. Jestem przemęczony — wmawiał sobie — nie śpię z rzędu dwie noce. Ślęczę nad tym cholernym projektem stalowej hali.

Obserwował ją, gdy krzątała się po pokoju, starając się zatrzeć ślady babskiego bałaganu. Na dywanie i na łóżku pełno było skrawków materiałów. Na krześle leżały kolorowe kłębki wełny, nocna koszula i biustonosz. Udał, że tego nie widzi. Był zmęczony, najchętniej, tak jak stał, rzuciłby się na łóżko i zasnął. Za ścianą jej chory na wątrobę ojciec gapił się w telewizor. Była piłkarska środa: Legia gościła na swoim boisku Pogoń. Rozkojarzony, z jakimś opanowanym do perfekcji nawykiem, trzymał w objęciach, jak rzecz, Natalię. Całował ją tak samo, lecz przecież inaczej. W ustach poczuł smak krwi, ugryzła go w język. Kiedy wreszcie, nie dając nic po sobie poznać, uwolnił się od niej, siedziała na krawędzi łóżka z przymkniętymi powiekami. Dyszała, zagłuszając jego oddech, była podniecona. Jej ciałem raz po raz wstrząsał niezrozumiały dreszcz.

Wygięła do tyłu głowę, w oczekiwaniu na dalsze pieszczoty. Z przyzwyczajenia dotknął więc jej uda, a potem wsłuchując się w dolatujące zza ściany głosy: ryk zawodu kibiców, przekleństwa ojca i bezsensowne uwagi komentatora, cofnął rękę.

* * *

Za kilka dni powinien minąć ponury, trzypiętrowy gmach sądu, budowlę uszkodzoną przed paru laty przez pożar. Potem kiosk, przejście dla pieszych i brama. Tyle razy stał w tej bramie, za każdym razem oddalając chwilę pożegnania. Natalia tuliła się do niego jak kotka.

— Nie odchodź jeszcze! — błagała.

Niekiedy, żeby go zatrzymać, wsuwała ukradkiem rękę za pasek jego spodni, a potem, gdy było po wszystkim, z wilgotną dłonią i ze śladami nakłuć od jego zarostu na policzkach, przemykała chyłkiem pod połyskującymi czernią oknami. Czasem, pamiętał przystawali między piętrami. Ich szalona miłość domagała się od nich czasu. Oboje znaleźli ten czas, lecz kosztem nauki. Trzeci rok studiów nie szedł mu już jak poprzednie. Natalia również miała zaległości: oblane kolokwia z topologii i z logiki.

* * *

Wszedł do bramy, owiał go chłód betonowych ścian. Jakieś dzieci nabazgrały kredą na murze: „Kajtek zajob”, „Aśka to pelaśka”. Na pierwszym piętrze kątem oka dostrzegł rysunek przebitego strzałą serca. Stąpał wolno. Dokładnie pięćdziesiąt cztery stopnie, nie musiał sprawdzać, liczył wiele razy. Zatrzymał się. Matowa aluminiowa tabliczka: „O. i E. Zielińscy”. Nasłuchiwał. Cisza. Żadnych głosów, jedynie hałas przelewającej się w rurach wody, to wszystko. Próbował wyobrazić sobie jej reakcję. Wręcza jej kwiaty i... Na próżno: tak samo jak pierwszego dnia, gdy się poznali, nie mógł przypomnieć sobie jej twarzy. Rozpłynęła mu się, na darmo zaciskał zęby. Bzdura, pomyślał i nacisnął dzwonek. Nigdy dotąd nie dzwonił. Umówili się z Natalią, że będzie pukał dwa razy.

Drzwi otworzyły się nagle, jakby przez cały ten czas Natalia stała za nimi.

— To dla mnie? — zapytała zamiast przywitania. — Chyba zwariowałeś!

— Voila!

— Przez próg?!

Ukłonił się nisko jak błazen. Zawsze w takich, jak ta, chwilach zachowywał się jak błazen. Cóż z tego, że obiecywał sobie, iż będzie konsekwentny. Nie dotrzymał słowa! Bezmyślny uśmiech przylepił się do jego ust.

— Nie stój jak słup! — powiedziała jakimś drapieżnym tonem — wejdź!

Zdjął w przedpokoju wysłużone adidasy i wsunął nogi w skórzane klapki. Sunąc w tych klapkach po dywanie, przeszedł za nią do pokoju. Rodziców nie było. Tym lepiej! Szybko powie swoje i wróci. Zdaje się, że wyszli coś kupić. Co? Nie zwrócił uwagi, takie szczegóły zwykle wydawały mu się bez znaczenia. Gapił się na nią, zastanawiając się jak zacząć. Ubrana była w nowy, robiony na drutach golf i taką samą, pod kolor, wiśniową spódnicę. Jej babską inwencję w całości pochłaniała moda. Teraz Natalia stała przed nim w wiśniowej kreacji, jakaś poważna, nie przeczuwając, że za moment raz na zawsze skończy się ich znajomość.

Rozwinął celofan i bez słowa podał jej róże.

— Wiedziałeś? — spojrzała na niego z przejęciem.

Uśmiechnął się cierpko, lecz nic nie powiedział.

— Wiedziałeś, Piotr, no powiedz! — podeszła bliżej. — Chciałam ci to właśnie dzisiaj powiedzieć — wyszeptała i przytuliła się do niego.

— Wiesz Piotr — powiedziała całkiem cicho — rano byłam w przychodni. Lekarz stwierdził, że to siódmy tydzień. Tak się cieszę, Piotr!

— Natka — powiedział — chciałem cię...

Objął ją szybko z nie znaną sobie dotąd, fałszywą czułością i przełamując wstręt do samego siebie, zaczął całować.

— Nie trzeba, Piotr — śmiała się szczęśliwa — zostaw.

Te kwiaty, pomyślała, trzeba szybko wstawić do wazonu. Róże, siedem delikatnych herbacianych pączków. Najpiękniejsze, jakie dotąd widziała. „Róża jest różą, jest różą...” przypomniał się jej banalny wiersz niemodnej już poetki.

Łesia Nikołenko

* * *

Przekwita bez, majowa gwiazda.
Tak niewidocznie jakbi z boku.
Znów jak piosenka w duszy dawna
Wdziera się lato w mój niepokój.

Przychodzi, staje prosto w progu,
I woła zwodzi w niewiadome,
I znów pokłonie się tej drodze,
Gdzie macierzanki pachną gromem.

Ludmyła Skyrda

* * *

Nad nami przepływają lata
I czasu spływa złoto ciemne
I profil twój i dłoni cień
I nuta głosu już jesienna.

I czy przeminą, czy uciekną
Jakby przepadły w cichym lecie,
A może życie, tak jak rtęć,
Srebrem rozbłyśnie po parkiecie.

* * *

Do nieboskłonów ułożona droga,
Dziewicza droga wiekami.
Chmury tylko kilimem srogim
Ponad nami i nad nami.

Nie dojdę. W drodze
Przystaję zmęczona.
W niebie gwiazdy młode,
Na ziemi pyłu gwiezdnego zasłona.

Przełożył z ukraińskiego
Tadeusz Karabowicz

Nadzieja Artymowicz

* * *

rozgryzasz słuchem
słowem
okiem
swoją ziemię

u ojcowskiej krynicy
twoje sny i życie

jest dom
gdzie śmierć i wiosna
mrugają białe liczby
nad tobą
pod tobą

Przełożył z białoruskiego
Tadeusz Karabowicz

DEBIUTY

Dorota Mazur

DON KICHOT

Dzisiaj don Kichot
nie chwyta za kopię
nie dosiada rumaka

Z łańcuchem
u nogi
buduje wielkie
wiatraki

I umiera
przygniatany spadającą belką
w pełni świadomy
że przebija po drzewo
a nie miecz wroga

Dorota Grzebyk

UTRACONE TWARZE

Podczas dni smutnych
przychodzą do nas utracone twarze
bliskich

błąkają się po pokojach
siadają w fotelach
czytają książki
nie pytają o nic
gdy mówimy do nich
milczą
gdy płaczemy
milczą
gdy śmiejemy się
milczą
gdy pytamy czy wróci
krzyczą
nie

I chcemy i boimy się...

Dokończenie ze str. 1

z elementarnym porządkowaniem gospodarki (regulacją cen, poprawą zaopatrzenia), a nie ze zmianami systemowymi (konkurencją, samodzielnością ekonomiczną, wzrostem przedsiębiorczości)" — „Polityka" z 22.08.87.

Szeroka werbalna akceptacja reformy nie obala bynajmniej mojego początkowego twierdzenia o podejrzewanej wewnętrznej niechęci społeczeństwa do istotnych zmian! Brak wokół reformy prawdziwej „burzy mózgów" na każdym szczeblu stanowi właśnie jej największe zagrożenie. Stąd wyniki ostatnich badań CBOS wydają się być bardziej wyrazem generalizujących społecznych pragnień niż rzeczywistym probierzem zakodowania potrzeby wdrożenia reformy w społecznej świadomości. 76 proc. zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej, 74 proc. nie pracujących i 66,6 proc. pracujących w gospodarce nie uspołecznionej potwierdza przekonanie, iż kierownictwo państwa chce rzeczywiście reformę przeprowadzić. Jedynie jednak co piąty ankietowany widzi przeciwników reformy wśród ludzi opanowanych lękiem przed koniecznością działania po nowemu. Praktyka zachowań ludzkich jest tymczasem zupełnie inna. Sondaż CBOS ukazuje bowiem, że jedynie co pięćdziesiąty badany zapoznał się dokładnie z tezami II etapu reformy, a co dwudziesty piąty zna je pobieżnie.

Powyższe dane ukazują dowodnie, iż w niektórych środowiskach reformę traktuje się po prostu jako chimeryczną zachciankę władzy. Znana zasada o naszej narodowej tendencji do popadania w skrajności, akurat w przypadku reformy, wydaje się być przypisana jedynie twórcom koncepcji. Ktoś tam zbankrutował, kogoś rozwiązano — jakie to haniebne i nieludzkie! Zderzenie między faktami gospodarczymi, a konceptualnym nieprzygotowaniem społeczeństwa do ich przyjęcia uwidacznia się szeroko. Niewątpliwe sukcesy w poprawie zaopatrzenia wytworzyły ponownie swoiste status quo, w którym konieczność zmian nie wydaje się wielu tak bardzo potrzebna. Tak właśnie rodzi się przekonanie, że reforma to takie „strachy na Lachy"; taka jakby zabawa w ogólnonarodowego „berka".

Dziś jeszcze, mimo znaczących zmian w strukturze cen, nasze budżety domowe funkcjonują „na dziko". Mała ekonomia na co dzień wciąż jeszcze nie zyskała sobie prawa powszechnego obywatelstwa. Dlatego to reforma, ba, każda o niej wzmianka, tak bardzo nas drażni. Dlatego tak bardzo jej przyklaskujemy, gdy pozostaje w sferze teorii i tak bardzo się jej boimy, gdy pojawia się w praktyce.

Jedyną szansą na odwrócenie tego dziwnego paradoksu wydaje się być działanie na świadomość. Przekonanie wszystkich zwolenników „państwa opiekuńczego", że czasy poślizgu bezwładnego zmierzają ku końcowi. Nie chodzi tu przy tym tak bardzo o jakąś ekwilibrystykę słowną, wystarczy coraz częstsza wymowa suchych faktów. Przytłumiona przez lata małej stabilizacji nasza naturalna zdolność do konkurencyjnego działania, osobista przedsiębiorczość i zapobiegliwość (tak pięknie realizujące się choćby w przypadku „turystycznych" wojaży za granicę) powinny wreszcie wyznaczać normy społecznych zachowań. Inaczej droga do sukcesu pozostanie znów drogą donikąd. Zadając więc sobie pytanie „komu reforma przeszkadza?", poszukując gorączkowo jej potencjalnych przeciwników, warto się przez chwilę zastanowić, czy odpowiedź nie ukrywa się zbyt blisko. Czy to nie my sami, brakiem aktywności, skazujemy ją z założenia na nieuchronną porażkę?

Należy czasami spojrzeć na samego siebie z odkrywczej perspektywy.

Cała ta konieczna terapia ma jednak, rzecz jasna, szanse powodzenia jedynie wtedy, gdy ekonomiczne efekty już teraz zostaną prawidłowo skalkulowane.

Wiesław Horabik

Pogodziła ich śmierć...

Jan Bąbiński

ZAPEWNE Jean Jacques Rousseau nieraz w grobie by się wywrócił, gdyby ujrzał, co dziś się wyrabia w jego rodzinnej Genewie. A potem drwiąco by się zaśmiał i szyderczo: macie teraz za swoje! Trujące spaliny na ulicach. Huk silników, że uszy więdną. Betonowe klatki zwane mieszkaniami. Chemia na waszych grzbietach. Chemia z pól w waszych garnkach. Dobrze wam tak, czy nie przestrzegałem, że moloch cywilizacji zniszczy was do szczętu?

Mędrzec z Genewy nie ufał technice za grosz.

Rozkochany w przyrodzie spędzał nad Lemanem długie miesiące, zatopiony w rozmyślaniach.

Nie tylko on uległ urokowi tego jeziora. Voltaire wykrzyknął: „Mon lac est le premier" (*me jezioro jest najpierwsze*). A spędził nad Lemanem, bądź w jego pobliżu, długie wszak lata. Urodę tych wód opiewał Byron, Lemartine, Hugo. Zaś Bouffon w pełnej fantazji poetyckiej baśni orzekł, że „potężny ocean, odwiedziwszy kraj Vaud, w dowód wdzięczności za daną mu możność podziwiania cudnych krajobrazów, zostawił po sobie jezioro genewskie".

Dumas porównywał Leman do zatoki neapolitańskiej. Tu i tam niebo jest równie błękitne, wody jednako lazurowe. I dodał, że jezioro genewskie robi mimo wszystko daleko większe wrażenie. Wkoło roztaczają się przecie wciąż wyższe i wyższe góry, tak, że zdają się być schodami wiodącymi wprost do bram niebios. A w dali podnosi swe białe czoło majestatyczny Mont Blanc. Przy tym gigancie sąsiednie szczyty zdają się pagórkami...

Rousseau, spacerując w słoneczny dzień po Vincennes, przeglądał „Le Mercure de France". Wtem jego wzrok przyciągnęła zwięzła notatka: Akademia w Dijon oferuje złoty medal autorowi najlepszego eseju na temat „Le progres des sciences et des arts a-t-il contribue a corrompre ou a epurer les moers?" (Rozwój nauki i umiejętności przyczynił się do zepsucia, czy też do uzdrowienia obyczajów?).

Rousseau w ułamku sekundy doznał olśnienia.

Dochodził już czterdziestki i oto ktoś rzucił mu w twarz pytaniem, które on sam stawiał sobie od dawna. Miał na nie gotową odpowiedź, zrodzoną w długich medytacjach wśród leśnej ciszy i na górskich wyżynach. Swe myśli niezwłocznie spisał i przesłał prace na ogłoszony konkurs. Przyznano mu pierwszą nagrodę. Jego esej „Discours sur les sciences et les arts" zapoczątkował, jak się później okazało, wszystko przeobrażającą rewolucję w myśli politycznej Zachodu.

Po latach wspominał:

„Nigdy nie żyłem bujniej i nie rozmyślałem intensywniej jak wówczas, gdy pieszo przemierzałem lasy, łąki i nieogarnięte górskie przestrzenie". Syn drobnego zegarmistrza, bity i maltretowany, rzucił w końcu dom i z buntem w sercu ruszył w nieznane. Był lokajem, nauczycielem muzyki, dramaturgiem, prywatnym sekretarzem i domowym guwernerem. Najlepiej czuł się na świeżym powietrzu. Bliskość natury oddziaływała nań jak najsilniejszy narkotyk.

Ktokolwiek błądził po Clarens, to dziś niemal przedmieście Montreux, i podziwiał pachnące gaje na zboczach, zrozumiał Rousseau aż nadto dobrze. Pośród rozkwitającej wiosna przyrody genialny genewczyk czuł się niczym w rajskim ogrodzie. Winnice wspinające się tarasami aż po górskie szczyty, stare zamczyska pochowane w zacisznych sadach, niebotyczne skalne wierzchołki dokoła... A u ich stóp rozpostarta szeroko płachta modrego jeziora. Czego jeszcze szukać? Czy to nie raj na ziemi?

Tam wysoko wśród skał i przepaści odczuwa się wciąż powiew tamtych czasów z takim zachwytem opiewanych przez Rousseau. Niżej, gdzie dziś roi się od hoteli i pensjonatów, stał lasek kasztanowy zwany „le bosquet de Julie". Nie z przypadku lasek to był Julii. Nie gdzie indziej, a w Clarens właśnie Rousseau umieścił akcję swej najpoczytniejszej powieści „Julia, czyli Nowa Heloiza".

Dzieło jest hymnem ku chwale wiejskiej sielanki i uroków prostego życia. Jest potępieniem zimnych kalkulacji. Nie bacz na majątek, dziewczko, idź za głosem serca. Szczęścia i spełnienia marzeń szukaj w umiarze i prostocie. Zaufaj duszy nie rozumowi. Kieruj się intuicją, nie wyrachowaniem. Posiew tych idei trafił na grunt żyzny i podatny. Gdziekolwiek Rousseau się pojawił, fetowano go jak bohatera. Otaczały go entuzjastyczne tłumy. Stał się ich bożyszczem.

Voltaire, w przeciwieństwie do Rousseau, głosił pochwałę rozumu. „Corriger la nature..." — nawoływał do poprawiania natury. W uszach Rousseau pobrzmiewało to bluźnierstwem. Traktował wszak naturę jako miarę wszechrzeczy. Wsłuchiwał się w głos przyrody. Dowodził, że dominacja rozumu i chłodnych wyliczeń sprawiły, że szerzy się korupcja i szaleje zepsucie obyczajów. Powszechna też stała się pogoń za zyskiem i pomnażaniem mienia.

Jak ciężki i przydługi płaszcz krępuje ciało, tak bogactwo zniewala duszę. Za postęp materialny człowiek płaci słono degradacją moralną.

Po przestudiowaniu „Rozważań o nierówności wśród ludzi" Voltaire napisał do Rousseau: „Doprawdy, nikt jeszcze nie włożył tylu starań i wysiłku, żeby przekształcić nas w zwierzęta. Po przejrzeniu Pańskiego dzieła odczuwa się w rzeczy samej nieodpartą ochotę połażenia na czterech". Voltaire swym ciętym językiem ponarażał się wielu. Z czasem uznano go za persona non grata zarówno we Francji jak i w Prusach. Nabył przeto okazałą kamienicę w Genewie i tam osiadł na stałe.

W krótkim czasie przeobraził swój dom w oazę orientalnego omalże przepychu i wyrafinowania. Zakupił cztery powozy i otoczył się wieńcem usłużnych lokajów. Upodobnił się do „grand seigneur" i tę rolę odgrywał do końca swych dni z zastanawiającym upodobaniem. Obraził w końcu i genewczyków, twierdząc w „Encyklopedii" Diderota, że Kalwin nosił okrucieństwo w sercu. Świętoszkowatość zawsze przecież chłostał.

Tego mu nie darowano. Kalwin był od wieków świętością nad Lemanem, a Genewa stała się protestanckim Rzymem. Musiał więc Voltaire czym prędzej zmykać przed gniewem purytańsko pobożnych mieszczan do pobliskiego Ferney przy szwajcarsko-francuskiej granicy. Przed wjazdem do posiadłości w Ferney stoi pomnik Voltaire'a. Niepozorny, łaskonogi pan z pełnym złośliwego kpiarstwa uśmiechem na twarzy.

W sypialni patriarchy pyszni się na ścianie portret Katarzyny II i Fryderyka Wielkiego. W tych koronowanych, lecz oświeconych również głowach, odnalazł Voltaire jakby bratnie dusze. Kiedy spogląda się na przycupnięte w sypialni niewielkie łoże wielkiego kpiarza, przypominają się jego słowa: — „marche vers la fin sans crainte et sans espoir" (podążaj ku śmierci bez obaw, ale też bez nadziei). Brzmi to dumnie, jakżę przy tym okrutnie!

Patriarcha z Ferney pogardzał Polakami, a Polskę uznał za kraj godny politowania.

Denerwowali go głupawi szlachetkowie. Drażniło ubóstwo miast i nędza polskich wiosek. Złościła samowola pysznych i zadufanych w sobie możnowładców. Irytowała korupcja urzędów i powszechne nieprzestrzeganie prawa. Dziki, brudny, barbarzyński kraj. Nigdy nie szczędził Polakom drwin i szyderstwa. I znów na drugim biegunie stanął Rousseau.

Filozof z Genewy wychwalał cnoty Polaków, wynosił ich umiłowanie wolności. O dziwo, nawet „liberum veto" uznał za przejaw zwycięstwa wolnej jednostki nad niszczącym człowieka absolutyzmem. Wzgardliwie wyrażał się o grubej i łasej na mężczyzn Katarzynie II i despotycznie okrutnym Fryderyku z pruskiego Berlina. Wszystkich chciał uszczęśliwić swymi ideami zapominając o jakże rozsądnej przestrodze Solona. Kiedy mędrca z Aten spytano, jaki jest najlepszy ustrój, odpowiedział:

„Powiedz mi najpierw, do jakiego należysz narodu"...

Rousseau ani mógł przewidzieć, że cały wiek XIX wypełni po brzegi apoteoza nauki. Profesorów czczono i wielbiono. Opłacano ich po królewsku. Wynalazców honorowano najwyższymi godnościami. „La Science" stała się bóstwem powyciąganym wszędzie na cokoły najwspanialsze. Wierzono niezachwianie, że nauka obdarzy ludzkość powszechnym dobrobytem i szczęściem bez granic. Sądzono, że czego nie zdąży załatwić wiek XIX, załatwi wiek XX.

Nie wszystko poszło po tym torze.

Nauka przyniosła w darze antybiotyki, ale podłożyła nam pod progi złowieszczo też tykający zegar — bombę atomową.

Gdyby Rousseau zasiadł do stołu z Einsteinem, obaj mówiliby dwoma różnymi językami. W ogóle by się nie mogli porozumieć. Odgrodziła ich przepaść niezwykłych w tym stuleciu odkryć naukowych. Gdyby wszakże Rousseau uciął sobie rozmówkę z Markiem Aureliuszem, czy świętym Augustynem, ktoś bezstronny stwierdziłby nie bez zaskoczenia, że wszyscy oni mówią właściwie to samo. A rozdzieliło ich kilkanaście stuleci.

Rousseau, podobnie jak święty Augustyn, wynosił pod niebiosa prostotę życia, potępiając zgubny luksus i wstrętne nurzanie się w zbytku. Ascetyczny znów Marek Aureliusz, niczym Rousseau właśnie, utrzymywał, że osiągnie szczęście, kto żyje w zgodzie z odwiecznymi prawami przyrody. Poprzestaj na małym, nie mnóż swych potrzeb i wejrzyj w siebie. Niech będzie pochwalona wszechmocna natura, mistrzyni niedościgła i matka nasza.

Słowem nić jakaś łączyła filozofów przez tysiąclecie. Cnotość w tym była, co głosili.

I nagle, ten wybuch nauki i niebywały rozwój cywilizacji materialnej...

Rousseau wiele porozrzucał ziaren, co padły na glebę chłonną i wydały owoc obfity. Jego duch patronuje poczynaniom coraz aktywniejszych obrońców środowiska naturalnego. Za jego sprawą umiłowanie przyrody zapuściło w umysłowości Szwajcarów korzenie trwałe i głębokie. Kto tylko może, wdziera się podczas weekendów na granitowe alpejskie ścieżki, gdzie harcują już tylko koziorożce. Komu środki zezwalają, stawia „chalet", szwajcarską daczę, koniecznie na górskim stoku, możliwie najbliżej chmur i najdalej od miast i osiedli.

Modlitewna omal fascynacja potęgą przyrody nie opuszcza Szwajcarów nigdy.

Własny „chalet", oaza ciszy i błogiej szczęśliwości... Kolorowe punkciki ludzkich siedzib zawieszonych gdzieś tam między niebem i ziemią, pośród najdzikszej przyrody, nad skalnymi otchłaniami, robią na każdym ogromne wrażenie. Ostatnie lata Voltaire przepędził w książęcym przepychu na zamku w Ferney. Rousseau dożył swych dni w ubóstwie na przepisywaniu nut. Za kartkę płacono mu 10 sous.

W 1794 r. zwłoki Rousseau przewieziono do paryskiego panteonu. Tu również położono do grobu Voltaire'a. Ironia losu sprawiła, że dwaj ci olbrzymi spoczęli w sąsiednich grobowcach na wprost siebie. Pogodziła ich śmierć.

Mając zamiar zabicia go, wziąłem do lewej ręki odłożoną szyjkę butelki zakończonej ostrym szpikulcem i przez koszulę wbiłem ostrze butelki w okolicę serca. Edek już nie zareagował na to uderzenie. Następnie wyjąłem ten fragment butelki, który trzymałem w ręku, i rozerwałem koszulę, ponownie wbiłem ostrze butelki w ciało Edka w okolicy jamy brzusznej. Z zadanej rany w okolicy serca krew nie wypłynęła w ogóle, natomiast z rany powstałej w okolicy jamy brzusznej wysączyło się niewiele krwi. Po zadaniu ciosów w jamę brzuszną oraz klatkę piersiową, a znajdowałem się wówczas w pozycji leżącej, ręką zacząłem ścierać krew z twarzy Edka...

Mord pod Rejowcem

Henryk Więcławski

TAK zeznawał w śledztwie 17-letni Roman K. Dalszą część makabrycznego „makijażu" stanowiło wpięcie grzebienia we włosy zamordowanego. Przedtem było jeszcze kopanie po twarzy, cios butelką w głowę i uduszenie paskiem. Całe to okrucieństwo odnalazł w sobie Roman K. bez żadnej realnej przyczyny; nie było w tej zbrodni motywu, nie było chęci rabunku, nie było prowokacji. Morderca był w stanie nietrzeźwym, ale zachował pełną świadomość tego, co czyni. Nie jest osobnikiem psychicznie chorym i nie jest niepoczytalny. Do tej pory nie ukończył szkoły podstawowej. Nauka szła mu ciężko, ale nie mieścił się nawet w kategorii niedorozwoju. Występowały u niego okresowo anomalie osobowości. Badający go psychiatra napisał: „Anomalie te silniej zdeterminowały jego losy niż niska inteligencja". Roman K. był jednym z junaków OHP.

Pamiętam, jak w czasie pewnego wykładu z filozofii profesor zwierzył się nam, iż najbardziej zdumiewa go zawsze akt nie sprowokowanej nienawiści człowieka do człowieka. Jak na filozofa, było to stwierdzenie stosunkowo naiwne. Kończąc swą dygresję profesor powiedział: „Jest coś takiego w człowieku, co stanowi najbardziej mroczny obszar ludzkiego działania. Coś takiego, czego nie sposób wyjaśnić a co ustawicznie objawia się, przynosząc człowiekowi klęskę. W takich wypadkach ludzie wstydzą się, że są ludźmi".

Dziesiątego września 1936 roku Edward G. spotkał Romana K. na dworcu PKP w Chełmie. Przedtem nie znali się: być może widywali się tylko z daleka. Wraz z nimi był jeszcze Ryszard J. Po pewnym czasie J. odszedł do pracy, a Edward i Roman zdecydowali, że do pracy nie pójdą. Około godziny siódmej przyjechała pociągiem znajoma Romana, Małgorzata M. Roman i Edward starali się nakłonić ją, by nie poszła do szkoły. Odmówiła. Po pewnym czasie obaj mężczyźni postanowili wypić jakiś alkohol. Nie mieli jednak pieniędzy, choć Edward G. chwalił się, że ma schowane w wersalce trzysta dolarów. Poszli do miejsca pracy Ryszarda i nakłonili go, by kupił im wino. Zgodził się pod warunkiem, że Roman przyprowadzi Małgorzatę. Roman poszedł więc do szkoły i wywołał ją z lekcji. Kiedy dziewczyna zobaczyła, że Ryszard J. zakupił sześć butelek najtańszego wina, uciekła. Mężczyźni wypili alkohol za garażami — dwie butelki na głowę. Potem Ryszard J. kupił jeszcze trzy wina. Wtedy Roman namówił Edwarda, by pojechał z nim do Majdanu Starego, gdzie mieszka jego dziadek i gdzie Roman zna wiele dziewczyn. W domu dziadka wypili jeszcze jedno wino. Dziewczyn nie zastali w domu. Postanowili zatem udać się do Rejowca. Nikt nie chciał ich tam zawieźć, więc zadecydowali, że pójdą na piechotę. W pewnej chwili, w pobliżu lasu, zorientowali się, że idą złą drogą. Edward zaczął naśmiewać się z Romana, że pomylił drogę. Wybuchła kłótnia i Edward uderzył Romana w twarz. Roman oddał mu, a potem zaczął go kopać. Edward rzucił się do ucieczki. Roman dogonił go, a gdy Edward się odwrócił, uderzył go dnem butelki, która wypadła z porzuconej marynarki Edwarda, w czoło. Edward upadł. Z butelki odpadło dno. Roman wypił część wina, a resztą polewał twarz leżącego. Widząc, że ten nie reaguje, dotknął ręką okolicy serca. Edward oddychał. Wtedy Roman postanowił go dobić. W tym celu zadał mu ciosy rozbitą butelką w twarz i skroń. „Jednak najpierw, aby go zabić, to chciałem go udusić". Wyciągnął ze spodni Edwarda pas, zrobił pętlę, założył ją na szyję i trzymając jedną ręką za twarz, drugą zacisnął pętlę, dusząc Edwarda. Właśnie uduszenie było bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Potem nastąpiły owe uderzenia szklanym szpikulcem. „Po zabiciu go wziąłem jego marynarkę i przeszukałem zewnętrzne boczne kieszenie, ponieważ chciałem zabrać papierosy, gdyż nie miałem własnych, a wiedziałem, że on je ma. Zabrałem mu te papierosy".

Roman przykrył ciało marynarką i wrócił do domu dziadka. Tam szybko usnął, a następnego dnia zjawił się w pracy. Jadwiga R. zbierając pod lasem pokrzywy znalazła ciało zamordowanego. Zatrzymany Roman K. przyznał się do winy od razu, a pytany o motyw zbrodni powiedział: „Tak więc jedynym powodem dla którego ja zabiłem tego mężczyznę, była obawa, że on później może na mnie napuścić swoich kolegów, którzy mnie pobiją lub też zabiją. Poza tym żadnych innych pretensji do niego nie miałem, zresztą ja go wcześniej nie znałem. Poznałem go dopiero tego dnia rano".

Okrucieństwo i metodyczność z jakimi Roman K. dokonał swej zbrodni wstrząsnęła w milicji nawet starymi rutyniarzami.

Ostatnio usłyszałem historię, jak to jeden ze znajomych moich przyjaciół stanął w obronie swojej żony, którą dwóch chuliganów chciało oblać brudną wodą (był to „śmigus-dyngus"). Otrzymał wówczas cios w okolicę szyi. Po dwóch tygodniach wystąpiły nagle objawy utraty wzroku, zaburzeń równowagi, bóle głowy. Po przewiezieniu do szpitala okazało się, że w tętnicy szyjnej utworzył się zator. Dokonano operacji. Skutki uboczne tego incydentu nadal pozostały. Chuligan zapewne nigdy nie dowie się, jaką krzywdę wyrządził człowiekowi. Pozostanie to krzywda anonimowa.

Roman K. świadomy jest zła, które popełnił. Czyn ten tłumaczy po prostu: „Żałuję tego, co zrobiłem, za bardzo byłem pijany, nie kierowałem swoim postępowaniem". Roman K. znał swoją ofiarę kilka godzin...

Bywają zbrodnie i krzywdy umotywowane systemem zależności. Łatwiej nam je wtedy zrozumieć, choć tak samo trudno się z nimi pogodzić. Takie zbrodnie, jak ta pod Rejowcem, wprawiają jednak w zakłopotanie nawet kryminologów. Każde zetknięcie z bezmyślną nienawiścią wiodącą do śmierci wprawia nas w stan szczególnego niepokoju. Pokazuje bowiem, iż jest coś takiego w człowieku, co stanowi najbardziej mroczną część jego osobowości. To coś jest jakby po trosze klęską nas wszystkich.

Roman K. przypuszcza, iż otrzyma wyrok w granicach piętnastu lat pozbawienia wolności. W czasie obserwacji w szpitalu psychiatrycznym pobił się z sąsiadem o krzesło przed telewizorem. Bójka była tak gwałtowna, że do jej uśmierzenia musiano wezwać dodatkowo sanitariuszy z innego oddziału.

Sztuka i pieniądz

Dokończenie ze str. 1

nym tworom ludzkiego talentu. Wszystko, co naprawdę wartościowe, trafia nieuchronnie do jednej z dwóch sławnych firm licytacyjnych.

Sotheby usadowiła się przy eleganckiej, kosmopolitycznej Bond Street, wśród spiżowych pomników i marmurowych fasad nowoczesnych towarzystw lotniczych, Christie zaś przy dostojnej St. James Street, w świecie ekskluzywnych, prywatnych klubów. Nie ma praktycznie ważnego muzeum na świecie, którego płótna nie nosiłyby na odwrocie pieczątki jednego z tych aukcyjnych domów. Założyciel firmy Christie — James, były marynarz, przeprowadził swą pierwszą aukcję 4 grudnia 1766 roku i dzięki niezwykłym zdolnościom oratorskim szybko uzyskał w środowisku wybitną reputację. Jego portret namalował sam wielki Gainsborough. Christie pozostawał ponadto w bliskiej przyjaźni z admirałem Nelsonem, którego tak przygnębiło wystawienie na sprzedaż portretu jego kochanki Emmy, iż zakupił go za trzysta gwinei, twierdząc, iż gotów był zapłacić nawet trzysta kropel krwi. Przed kilku laty firma Christie sprzedała na aukcji koszulę, którą nosił Nelson w chwili śmierci pod Trafalgarem.

Tak oto zmieniają się czasy!

Christie od początku zajmowała się handlem dziełami sztuki, podczas gdy Sotheby, choć o dwanaście lat starsza, pierwotnie penetrowała wyłącznie rynek księgarski. W obu firmach nie pracuje już nikt z potomków fundatorów. Ostatni Sotheby zmarł w 1867 roku i odtąd przedsiębiorstwo prowadzą przedstawiciele angielskiego establishmentu, których zainteresowania oscylują między sportem a sztuką.

„Prawdziwe skarby nadal czekają na odkrywców" — głosi broszura reklamowa Sotheby.

Pewnego razu trafił tu policjant z meksykańską maską zakupioną w sklepiku ze starociami za śmieszną sumę trzech funtów. „To nie jest meksykańskie — powiedział mu młody człowiek za kontuarem. — Potrzebny będzie raczej ekspert od sztuki nowoczesnej". Figurynka okazała się dziełem Henry Moore'a.

Jeden z pracowników Christie odkrył z kolei w domu znajomego niepozorny obrazek, przedstawiający scenę myśliwską. Obrazek ten (dzieło Turnera) uzyskał później na aukcji cenę tysiąca funtów. Ktoś inny potknął się o dziwny kamień na progu odwiedzanego domu. „Używamy go od lat, jako przedporoża — sumitował się gospodarz. — Najwyższy czas, żeby go wreszcie usunąć". Kamień ów okazał się reliefem z czasów dynastii Ming, a jego cena sprzedażna doszła do sześciu tysięcy funtów.

Takie historie opowiada się w korytarzach obu szacownych instytucji. Podtrzymują specjalny klimat i upewniają przypuszczalnych klientów, że bogactwo wciąż jeszcze leży na ulicy. Wystarczy tylko żyłka szperacza.

Sprzedaż na aukcji nie pozbawiona jest wszakże i minusów. Po pierwsze, trwa niekiedy zbyt długo. Trzeba bowiem zawsze czekać na właściwy moment, a decydujące znaczenie może mieć nawet pora roku. Podstawowym przewodnikiem po aukcyjnych skarbach jest, oczywiście, katalog, lecz najlepsze obrazy nigdy nie bywają w nim specjalnie eksponowane. Koneserzy muszą wszak otrzymać szansę samodzielnego wyszperania arcydzieła. Najcenniejsze płótna rozwiesza się więc w dyskretnych miejscach, rozpuszczając zarazem wieści o innych przedmiotach mających być rzekomo szczególną atrakcją danej licytacji.

Dlatego to właśnie, w dni zwiedzania eksponatów, dżentelmeni w nienagannie skrojonych garniturach najwięcej uwagi poświęcają rzeczom, na których im wcale nie zależy. Przed kilku laty, gdy Christie miała na sprzedaż niewątpliwy rarytas („Tytus" Rembrandta), przedstawiciele dwóch amerykańskich muzeów w ogóle nie pojawili się na wstępnej ekspozycji. Obydwie strony odwiedziły natomiast firmę w niedzielę, a dyżurni pracownicy musieli się wykazać nie lada sprytem, by nie dopuścić do bezpośredniej konfrontacji. Tak tworzy się sztuczne napięcia, aurę niezwykłości i dramatyzm aukcji. Chwila jej przeprowadzenia to jedynie szczytowy moment wielotygodniowych negocjacji.

„Liczy się każda sekunda — mówi Peter Wilson, dyrektor Sotheby. — Najmniejsze wahanie może okazać się fatalne. Należy uderzyć młotkiem odrobinę wcześniej, niż tego oczekują kupujący. Nie wolno dać im czasu do namysłu. Na aukcji ma się stale pistolet przystawiony do głowy. To kwestia: teraz lub nigdy".

Obecnie prawdziwe arcydzieła rzadko trafiają na rynek. Z zasady wszystko, co wielkie, znalazło już swe miejsce w muzeach i w domach prywatnych kolekcjonerów. Aby podtrzymać hossę, aukcjonerzy proponują zatem coraz to nowe obiekty pożądania: stare samochody (wiekowy Rolls-Royce kosztuje o wiele więcej niż najnowszy model), silniki parowe, maszynerię rolniczą z przełomu wieków itp. Christie organizuje ponadto od paru lat sławną aukcję win, która przyciąga znawców z całego świata.

Obie firmy nie ograniczają się zresztą wyłącznie do Londynu. Posiadają liczne filie w całej Europie, w Kanadzie, Australii, a nawet w Południowej Afryce. Sotheby prowadzi działalność w Bejrucie, a o rynek japoński trwa od lat zażarta walka obu potentatów. Powodem tej ekspansji pozostaje przede wszystkim fakt, iż poszczególne przedmioty najlepiej sprzedają się w okolicach swego pochodzenia. I tak miśnieńska porcelana uzyskuje o wiele wyższe ceny w RFN czy Szwajcarii niż w Anglii. Niedawno Christie przesłała do Tokio wielką kolekcję przedmiotów użytkowych dawnego chińskiego i japońskiego rękodzieła.

Jak pisze Peter Brusse w swej książce „Anglia nie istnieje", dyrektor firmy Sotheby wyraził swego czasu opinię, iż fascynacja sztuką łączy się nierozerwalnie z ludzką zachłannością. Rozmyślając w ten sposób można by założyć, iż gdyby w jakiś sposób zachłanność człowieka wygasła, to wówczas i sztuka musiałaby także napotkać swój kres. Na razie Peter Wilson może spać spokojnie. W czasach, gdy pieniądze tracą ustawicznie na wartości, dzieła starych mistrzów pędzla obrastają w cenę z każdym rokiem. Niemała w tym zasługa dwóch aukcyjnych monopolistów. Dbają oni skutecznie o to, by wartość sztuki nie ograniczała się jedynie do jej zalet estetycznych; pilnują, by nie utraciła nigdy swej wymiernej wartości w pieniądzu.

Produkt ludzkiego ducha zawsze był przecież najcenniejszym towarem.

Piotr Beck

(W tekście wykorzystano broszury okolicznościowe firm Christie i Sotheby).

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (3)

RANO każdy dostał po dziewięćset gramów czarnego, komisnego chleba. Z przywiezionego na wózku kotła dymiła zupa. Niektórzy mieli manierki i łyżki, ci najpierw zostali obsłużeni.

Wilgotny, nie dopieczony chleb nie smakował nam. Nietknięte „pajki" wyrzucaliśmy przez okno na dziedziniec. Po obiedzie odwiedził nas komendant, zaznajomił z obowiązującymi przepisami porządkowymi. O naszym dalszym losie nie wspomniał ani słowem, a kiedy wychodził, zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

— Wyrzucacie chleb, wasza sprawa. Ale pamiętajcie, przyjdzie dzień, gdy każdy kęs będzie dla was na wagę złota!

Jakże szybko miała się sprawdzić ta przepowiednia!

Co jakiś czas na dziedziniec zajeżdżały ruchome „larki" bufety na kółkach. Można było kupić nadziewane grochem, trójkątne pierożki, papierosy, słodycze. Tymi pierożkami uzupełniałem przydziałowe menu.

Jak długo będą tu nas trzymać? Niewola ciążyła nam bardzo. Fala czerwcowych upałów nawiedziła miasto. Mimo otwartych okien w pomieszczeniu panowała duchota. Spaliśmy w tym, co kto miał na sobie.

W co się bawić, w co się bawić? — zaśpiewalibyśmy, gdyby Młynarski o te czterdzieści lat wcześniej napisał swą piosenkę. Ktoś zaproponował karty. Znalazło się kilka talii i kilka zespołów zasiadło do pokera. Karta waliła mi niesłychanie. Kareta, strit, full, poker. Zgarniałem banknoty do kieszeni, a gdy były pełne, za koszulę. Miałem już dość, ale jak tu odejść od stołu z taką wygraną? Blefowałem nieprzytomnie, co miało taki skutek, że doszczętnie ogołociłem partnerów z gotówki. Jeden, chcąc się odegrać, postawił parę butów „Bata", z kwadratowymi noskami — i zmieniły one właściciela. Jak bardzo miały mi się przydać!

Nurtowała mnie zagadka: gdzie się podzieli Jerzy i Mietek? Przecież przyjechaliśmy tym samym samochodem! Obiegłem kilka razy koszary, bez skutku.

Jedni z pokorą i rezygnacją znosili swą dolę, inni się buntowali.

— Nie mam zamiaru zostawać tu dłużej! — oświadczył młodzik z dolnej pryczy. — Przy pierwszej okazji daję nogę!

Przyznać trzeba, że plan ucieczki obmyślił znakomicie, w najdrobniejszych szczegółach.

Tam, gdzie jest taka masa ludzi, gromadzą się sterty śmieci, odpadków jedzenia, szmaty. Do obowiązku „dniewalnych", czyli dziennych dyżurnych, wybieranych na zmianę spośród nas, należało utrzymywanie czystości: mycie podłóg, sprzątanie, zbiórki śmieci, które wynosiliśmy w drewnianych pojemnikach poza teren koszar, pod strażą. Pomysłowy młodzian umówił się z kolegami: położę się na spodzie, przywalicie mnie czym się da i wysypiecie na śmietnisku. Dalej sam już sobie poradzę.

Strażnicy wyprowadzili chłopców uginających się pod ciężarem „nosiłek", ci pozbyli się balastu i na wszelki wypadek przysypali swego kompaniona dodatkową warstwą śmieci z sąsiedniej sterty. Udało się!

A na drugi dzień na wartowni zjawił się nasz bohater i ledwie zipiąc ze zmęczenia oświadczył:

— Wróciłem z własnej woli. Nie mam już sił. Odprowadźcie mnie do celi...

Opowiedział nam o swych przeżyciach. Nikt go nie zauważył, gdy wygrzebywał się spod śmieci. Tramwajem pojechał do mieszkania, skąd go zabrano. Na jego widok gospodyni zatrzasnęła drzwi, nie pozwoliła mu nawet umyć się i zabrać reszty rzeczy. Podobnie przyjęto go w innych domach. Tułał się bezradny po mieście, szukał bratniej duszy. Pieniędzy nie miał, wyżebrał kilka rubli, kupił butelkę mleka i bułki. Przenocował na ławce w parku, dobrze, że nie przechodziły tamtędy patrole milicji, a rano, zziębnięty, głodny, przyszedł na wartownię.

Lojalnie oświadczam, że nie spotkały go żadne represje, o ile pamiętam, dostał na obiad podwójną porcję kaszy z sosem.

Po tygodniu, wieczorem, samochodami przetransportowano nas na dworzec kolejowy. Za dymiącą lokomotywą ciągnął się długi sznur krytych wagonów z małymi, zakratowanymi okienkami. Oheblowane ławki, rozłożona na podłodze słoma, wiadra z wodą. Chleb na drogę dano nam przy bramie w koszarach.

Dokąd nas wiozą? Sybir, Kamczatka, Biegun...

Po kilku godzinach pociąg stanął. Otworzyły się drzwi wagonu. Strażnik wsunął głowę.

— Dziesięć minut postoju. Kto ma potrzebę, może wyjść, tylko pamiętajcie bez żadnych sztuczek!

Było już dobrze po południu, gdy nasza podróż dobiegła końca. Z ciekawością rozglądaliśmy się dokoła. Może jakaś tablica z nazwą miejscowości? Może jacyś ludzie, od których można będzie zasięgnąć informacji? Nic z tego. Wysadzono nas w pustkowiu, gdzie diabeł mówi „dobranoc". Jak okiem sięgnąć — pola i majaczący na horyzoncie las...

Pomaszerowaliśmy czwórkami. Z przodu, po bokach i z tyłu nasi opiekunowie. Za zakrętem wyłoniły się baraki. Wpuszczono nas do środka, po kilkunastu minutach przyniesiono wiadra ze zbożową kawą.

— Obmyjcie się z kurzu i przygotujcie na wizytę lekarza.

Pierwszy raz w życiu widziałem taką rewię golasów. Wśród młodych, dobrze zbudowanych mężczyzn przewijały się sylwetki ludzi starszych, o zwiotczałych mięśniach, z nabrzmiałymi na rękach i nogach żyłami.

Otwarły się drzwi. Wszedł doktor w spódnicy. Była to, jak się później dowiedziałem, felczerka. Młoda, zgrabna, z burzliwym biustem, z falą ciemnych, niesfornych loków, opadających na pyszny kark.

I stała się rzecz straszna, przerażająca. Jej widok podziałał na mnie jak uderzenie pioruna. Mistrz Sztaudynger biadolił w swej fraszce, że patrząc na apetyczną dziewczynę nie mieści się w portkach. A ja nawet tych nieszczęsnych portek nie miałem na sobie!

Felczerka obszczypywała defilujących przed nią, jakby to były manekiny i obojętnym tonem wydawała polecenia towarzyszącemu jej mężczyźnie:

— Ten do brygady pięćdziesięcioprocentowej. Ten dwadzieścia pięć procent. Na co się uskarżacie? Aha, pięćdziesiąt procent...

Raz, dwa wziali

Płonąc ze wstydu, pod drwiącymi spojrzeniami towarzyszy, cofałem się krok za krokiem przed zbliżającą się dziewczyną, obrócony do niej tyłem. Aż przyszedł moment, gdy już dalej nie mogłem iść: oparłem się, no niezupełnie o ścianę. Ścigały mnie jej dyspozycje:

— Pięćdziesiąt, sto, dwadzieścia pięć, siedemdziesiąt pięć...

A tu nic, bez zmian. Za swymi plecami usłyszałem zniecierpliwiony głos:

— A nu-ka, otwiernities' w konce koncow! — Popatrzyła na mnie od dołu do góry, z cezurą na środku mej cielesnej powłoki, przygryzła wargi.

— Zdorowiennyj pareń! Piszitie — zwróciła się do towarzyszącego jej łapiducha — stoprocentnaja brigada!

I tak oto zostałem po dwakroć pogrążony: raz za swój nieposkromiony, długi język, i dwa za... no właśnie.

Staliśmy w karnym ordynku za wrotami obozu, w oczekiwaniu wymarszu na roboty. Strielok zlustrował nas rutynowym spojrzeniem, sprawdził, czy jesteśmy w komplecie i beznamiętnym głosem obwieścił:

— Wnimanije! Szag w liewo, szag w prawo, szag w pieriod, szag nazad, a budu primieniat' orużije biez preduprieżdienija! Poniatno?

— Poniatno! — odkrzyknęliśmy chórem.

— Szagom marsz!

Formułkę tę, ostrzegającą, że strażnik bez uprzedzenia użyje broni przy najmniejszej próbie ucieczki, znaliśmy już na pamięć. Tydzień minął od przybycia do obozu pracy przymusowej. Powitał nas komendant całego uczastka (podobno też zakliuczonnyj, resztę kary pozwolono mu odbyć na tym stanowisku):

— Przypadł wam w udziale nie lada zaszczyt uczestniczenia w historycznym dziele, w budowie elektrowni wodnej, która powstaje dzięki wysiłkowi całej armii ludzi pracy i służyć będzie narodowi. Będziecie pracować w zdrowych warunkach, przy wycinaniu drzew, bo ten teren przed zatopieniem musi zostać oczyszczony i wyrównany. Czego od was wymagamy? Karności, zdyscyplinowania i dobrej roboty. Kto nie będzie szczędził wysiłków, nie położy się głodny spać!

Prorab, proizwoditiel raboty, czyli kierownik robót, w rozmowie z którymś z naszych ujął to dosadniej:

— Żit' budziesz, no jebat' nie zachoczieszi!

Komendant nie wymienił nazwy miejscowości, dokąd nas zagnał los, nie określił, ze zrozumiałych względów, geograficznego położenia obozu, ale już po paru dniach mieliśmy pełne rozeznanie, gdzie się znajdujemy. Obóz odwiedzali w różnych sprawach „wolnonajomni", pracownicy z wolnego najmu, przeważnie inżynierowie, technicy mieszkający w okolicy. Przyjeżdżały ciężarówki z materiałami budowlanymi. Wyciągaliśmy od kogo się dało słowo po słowie, resztę dopowiedzieli nam więźniowie z rosyjskich obozów pracy.

Ich i nas obowiązywał zakaz kontaktowania się. Nie wolno było opuszczać swych zon (na miłość boską nie stawiajcie kropki nad „z", tu chodzi o strefy!), obie — polską i rosyjską, oddzielały zasieki, a dodatkowo stałą służbę pełnili wartownicy. Ale nasze i rosyjskie brygady pracowały w bliskim sąsiedztwie. W czasie pieriekurok, przerw na papierosa, ucinaliśmy krótkie rozmowy, a że nie brak było wśród nas łebskich facetów — szybko zorientowaliśmy się, co i gdzie.

Miejscem naszej pracy był Rybińsk, port nad Wołgą, w obwodzie jarosławskim (jeśli ktoś jest słaby w geografii — między Moskwą a Leningradem). W pobliżu Rybińska znajdował się potężny zbiornik wodny, sztuczne jezioro powstałe w wyniku przegrodzenia Wołgi tamą. I właśnie wody z tego akwenu miały być skierowane na tereny, gdzie nas przywieziono, gdzie powstawała elektrownia wodna, a nasz uczastok nazywał się „Rybiński Hydrouziel".

Dzięki niezapomnianej felczerce, a po trosze i hojności natury, przydzielono mnie do brygady, wyznaczonej do najcięższych prac. Razem z trzydziestoma byczkami z różnych stron Polski znalazłem się w brygadzie Eljana, którego wybraliśmy za swego przywódcę. Polskich brygad było kilkanaście, na czele całej polskiej kolonii stanął Feichenfeld, krakus z nastroszonym krótkim wąsem, w średnim wieku, o postawie zawodowego kaprala. Nominacja była trafna. Nasz szef trzymał w karbach swych podopiecznych, ale jak lew walczył o lepsze warunki bytowania, o większe pajki chleba.

Pierwszy dzień darowano nam na zaaklimatyzowanie się, drugiego wyprowadzono do karczowania lasu. Nawet Sybiracy, naród jak mało który zahartowany i zawzięty, wysiadali przy karczowce. Pnie drzew należało tak wykopywać, żeby w ziemi nie został najmniejszy pęd i w efekcie wyrobiliśmy kilkanaście procent normy. A w obozie obowiązywały żelazne zasady: za wykonanie normy w stu procentach dostawało się kilogram chleba, za dziewięćdziesiąt procent — dziewięćset gramów, za osiemdziesiąt — osiemset i tak dalej. Jeżeli schodziło się poniżej 26 procent — pajki kurczyły się do trzystu gramów, zupę nalewano więźniom z najgorszego kotła, wodnistą balandę, w dodatku na noc zamykano w karcerze. Tak karano otkazczikow, którzy wymigiwali się od roboty.

Tym razem do karceru nie powędrowaliśmy, no bo jak trzydziestu chłopa zamknąć w pomieszczeniu, przystosowanym na przyjęcie kilku osób?

Przerzucono nas na liesopował — do ścinania drzew. Piłowało się je ręcznymi piłami we dwóch. To też nie lada sztuka.

Robotę nadzorowali dziesiątnicy, a prorab, przechadzając się od brygady do brygady, kontrolował, jak się uwijamy.

— Raz, dwa, wziali! — komenderował, a widząc, że nie możemy sobie poradzić, dodawał: — chuj podniali — po czym, żeby nas zachęcić do dalszych wysiłków: — raz, dwa, drużno, jeszcze nużno!

Jakoś szło. Wypracowaliśmy po dziewięćset gramów chleba, i talony do lepszego kotła, co gwarantowało gęstą, zawiesistą zupę na śniadanie, taką samą na kolację po powrocie z pracy, do tego na drugie porcję grochu puree, kaszy czy okraszonych ziemniaków.

Za ponad sto procent normy mogliśmy wykupywać po pięćdziesiąt kopiejek specjalne talony na priembliudu. W czasie pracy przyjeżdżała ruchoma kuchnia z dymiącymi beczkami. Kucharz na każdy talon wydawał porcję tak gęstego grochu, że łyżka stawała i po białej bułce. Na te bułki polowali więźniowie z rosyjskich brygad, sprzedawaliśmy je po kilka rubli sztuka, grochem objadaliśmy się po uszy (priembliudowych talonów można było kupić, ile kto chciał), a po powrocie do obozu opylaliśmy normalne kolacyjne talony.

Nasze kosztowności — zegarki, obrączki, pieniądze, oddaliśmy na przechowanie do obozowego magazynu. Wręczono nam pokwitowania i zapewniono, że gdy wyjdziemy na „wolę" wszystko otrzymamy z powrotem. Nie wzbudził w nas podejrzenia również fakt, gdy któregoś dnia do obozu wjechała ciężarówka i jacyś grażdanie, chodząc od baraku do baraku, namawiali nas do oddania w depozyt cywilnych ubrań, butów i innych części garderoby, która w obozie nam się nie przyda, a może paść łupem rzezimieszków z innych brygad. Ja też oddałem swoje ubranie z pepity. W zamian za swoje rzeczy dostaliśmy od przybyłych karteluszki z adnotacją: odin kostium, odna para sapogow, odin switier itd.

Na roboty wyprowadzano nas o szóstej rano. O piątej do baraku wchodził Makutoni (chyba nie Włoch z pochodzenia?) i donośnym głosem zrywał nas z prycz:

— Pojdom! Zbierać się!

Makutoni był dniewalnym, jego obowiązki polegały na budzeniu nas, a gdy baraki pustoszały, na sprzątaniu. Lukratywne zajęcie zawdzięczał parze pięknych, glansowanych butów z cholewami (niemal identyczne miał na nogach mój Stefan!). Ofiarował je komu trzeba i zadekował się jak u pana Boga za piecem — ani razu nie wyszedł poza wrota.

Spaliśmy w długim baraku z dwupoziomowymi pryczami, gęsto, jeden przy drugim. Gołe deski pod plecami, głowy spoczywały na workach mieszczących nasz dobytek. Kładliśmy się w roboczej odzieży — drelichowych bluzach i spodniach, a okrywaliśmy — czym kto miał, przeważ-

nie paltami. Mój długi, niemal do kostek, płaszcz, taka była moda przed wojną, oddawał nieocenione usługi. Jedną nogę wsuwałem w rękaw, w drugi rękę i owinięty paltem jak rolmops spałem w takiej pozycji jak zabity do wejścia Makutoniego.

Pracowaliśmy do szóstej wieczór z przerwami na pierlekurki. Strażnicy, na ogół wyrozumiali, dość często zarządzali przerwy. Po każdej ustawiali nas w dwuszeregu i sprawdzali, czy stan liczebny zgadza się z wykazami na ich drewnianych tabliczkach. Któregoś dnia strielok nie mógł się nas doliczyć. Kilka razy obszedł dwuszereg, zaklął po matuszkie, zabronił ruszyć się z miejsca i wystrzelił w powietrze ze swojej wintowki. Nie trwało długo, gdy z zony przybiegło kilku jego kolegów w towarzystwie potężnych wilczurów. Ruszyła pogoń za zbiegami. Na przedzie znudzone bezczynnością psy, za nimi strażnicy.

— To Szlama i Kuba dali nogę... — poszło po brygadzie.

— Nie zajdą daleko — pokręcił któryś głową. — Tu takie numery nie mają szans. Wiecie, jak daleko stąd do najbliższych osiedli? Zresztą kto przyjmie uciekiniera z obozu? Mieli na sobie kazionne specowki...

Po upływie niespełna pół godziny ukazał się kondukt. Otwierały go zadowolone, merdające ogonami pieski, za nimi dreptali obaj delikwenci, a z przodu i z tyłu strażnicy. Ich karabiny opierały się o plecy Szlamy i Kuby.

Psy obozowe przeszły odpowiednie wyszkolenie. Nie zrobiły żadnej krzywdy zbiegom. Powaliły ich na ziemię i przytrzymały zębami za pludry, póki nie zjawili się ich panowie. To nie to, co owczarki w niemieckch obozach, przyuczone do rozszarpywania uciekających więźniów.

Wieczorem komendant zwołał wszystkie polskie brygady i wśród grobowej ciszy powiedział:

— U nas nikt nie ucieka, a jeżeli ucieka, to ścigamy go jak wściekłego psa. Nie zobaczycie już waszych towarzyszy...

Zwiesiliśmy głowy, co pobożniejsi odmówili w duchu modlitwę za umarłych „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie" i „El mole rachmim"...

Długo ten incydent był tematem rozmów. Żałowaliśmy obydwu kozaków. Nikt nawet nie przypuszczał w jakich okolicznościach przyjdzie się z nimi spotkać!

Życie obozowe zbliżyło nas. Zatarły się różnice klasowe, religijne, rasowe. Zawiązały się przyjaźnie, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Przylgnąłem do dwóch chłopców z naszej brygady: Józka Bartosika i Topfa. Stanowiliśmy nierozłączną trójkę. Józek, poczciwe, rosłe chłopisko, pracował do wojny jako farbiarz. Wyręczał mnie często na proizwodztwie. Widział z jakim trudem się schylam. Po przebytej w dzieciństwie dwukrotnej trepanacji czaszki mam uszkodzony błędnik w prawym uchu, na które nie słyszę, najlżejsza praca w pozycji pochylonej przyprawia mnie o zawroty głowy, co było też powodem otrzymania na komisji poborowej w Łodzi kategorii „D". A jak piłować nie schylając się?

Dzieliłem się z Józkiem machorką. Namiętnie palił, a że gotówki nie posiadał, zdany był na cudzą dobroć. Drugi mój kompanion, Topf, jak na warunki obozowe, był krezusem. Ani rubla nie oddał na przechowanie, grubszą sumę zaszył w bluzie. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego tak panicznie boi się bani. Chyba ani razu nie poszedł do łaźni, zawsze się jakoś wykręcał, choć naczalstwo pilnie baczyło, abyśmy co dwa tygodnie obmywali grzeszne ciała.

Właściwie nikt nie chodził tam chętnie. Baliśmy się brudu, to prawda, ale w bani czyhało inne niebezpieczeństwo. Nasza odzież wędrowała na druciane obręcze, po czym po działaniu wrzącej pary wracała do pomieszczenia, gdzie na golasa, nieraz godzinę, wyczekiwaliśmy po obmyciu się. Obręcze z odzieżą rzucano na kupę; ci, którzy stali najbliżej, łapali najlepsze bluzy i spodnie, a te sfatygowane dostawały się ostatnim. Raz i mnie przypadło w udziale poplamione, podarte odzienie. Mało tego: po kilku dniach odczułem potworne swędzenie w kroczu, w miejscu, które Niemcy nazywają figlarnie „Eierplatztantz". Złapałem mendoweszki. Maść sabadylowa nie pomogła. Poczciwy Józek scyzorykiem (ukrył go, bo ostrych narzędzi nie wolno było mieć) przy migotliwym świetle lampki elektrycznej wydłubywał wstrętne insekty. Wessały mi się w ciało na głębokość kilku milimetrów.

W barakach zakwitł drobny handelek. Sprzedawano i kupowano najróżniejsze rzeczy. Największym popytem cieszył się chleb. W cenie była też machorka. Głównymi zaopatrzeniowcami byli więźniowie z rosyjskich baraków, otrzymywali „pieriedacze" od rodzin. Gorzej wyglądała sprawa z papierem na skręty. Czasem ktoś wyżebrał jakiś skrawek gazety od proraba czy dziesiatnika, częściej kręciło się tytoń w skrawkach kartonu z porzuconych opakowań po cemencie. Oddzielaliśmy mozolnie warstwy tej bumagi, sklejaliśmy je śliną i zaciągaliśmy się dymkiem.

(cdn.)

Krzyżówka nr 16 z szyfrem

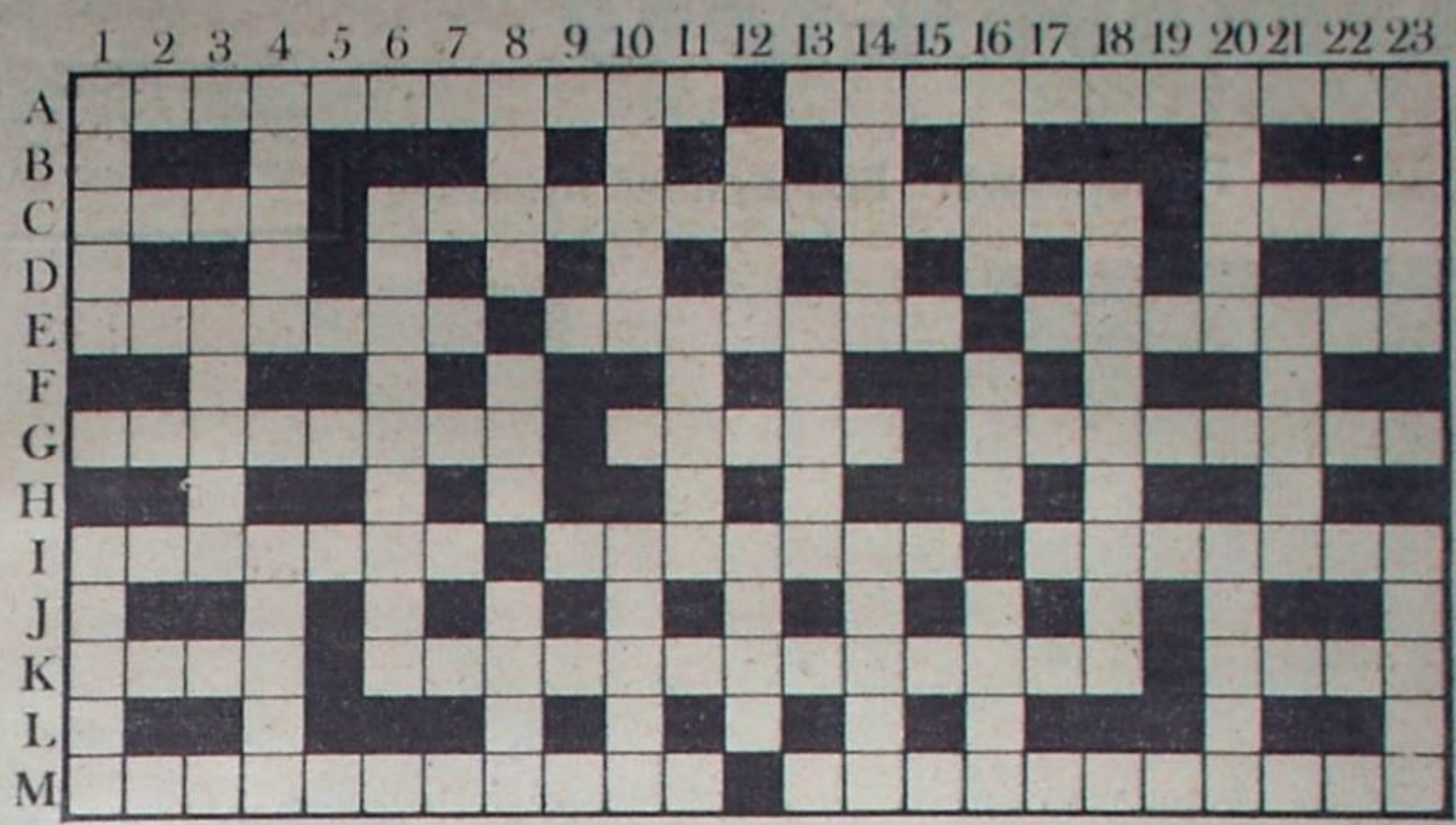

Poziomo: A. to, co niezbędne O był nim Iwaszkiewicz, Lechoń, Tuwim i inni, C. pora roku O poświadczenie prawdziwości O wodny znak drogowy, E. obuwie sznurowane O sylaba O bóg handlu, G. miasto wojewódzkie O powieść Camusa O człowiek praktyczny, I. samochód z NRD O trzy miesiące O cieśnina między półwyspami Bałkańskim i Apenińskim, K. okres, po którym dane zjawisko występuje ponownie O współpodpisanie aktu prawnego O kłoda, M. wybitna nieaktualność O ambulatorium.

Pionowo: 1. ukraiński taniec ludowy O wielobarwny łuk świetlny, 3. popularny owad, 4. miasto na trasie Warszawa — Gdańsk i Warszawa — Olsztyn O sworzeń, 6. znak przestankowy, 8. muzyczna litera O spód naczynia O dzielnica wielkiej Warszawy, 10. opad atmosferyczny O słowo, 11. coś ze sztućców, 12. przepływa przez Pizę O skroplona para, 13. kawał drogi lub czasu, 14. ptak — wyjątek O kapłan rzymski odczytujący wolę bogów np. z lotu ptaków, 16. autor cytowanego w szyfrze tekstu O gem O wchodząca obecnie w skład Ostrowa Lubelskiego wieś odznaczona Krzyżem Grunwaldu, 18. modnisia, efektownie ubrana, 20. samodziałowy szal z koronką O hiszpański wójt, 21. jedno z imion Niemcewicza, 23. konie czystej krwi O prawo wyboru obywatelstwa w wypadku przejścia terytorium pod inną władzą państwową.

SZYFR

A1. C8. C21/G3. E9. C11. A14. C23 / M21. K18 / K12. I10. E12. L23. B20 / M17. M5. C9. G20. D18. J1 / D4. C2. C16. G7. L4. I6 / C20. D14. A11 / E11. A23. K14. I23. C13. A8. F11 / C22. G14. K20 / I4. K16. G16. I14. M2. A5. E20 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14 Z SZYFREM

Poziomo: stawidło, stylisko, sekwencja, prowizja, represja, Dwernicki, arsenał, brakarz, saga, ansa, okno, prąd, zlew, Raba, duet, bryt, gwiazda, wartość, stroiciel, Szczawno, eksterni, stokrotka, amaranty, robaczek.

Pionowo: sepia, gąska, rękaw, anons, ircha, epoka, Ilion, zjawa, Arpad, osad, sąd, sosy, wiadukt, kwarta, troska, angina, bachor, Koszyce, sari, alt, Lear, rewia, larwa, rutka, karat, sosna, obraz, rabuś, oracz, ćwiek.

Szyfr: Kto czeka na swoją chwilę, winien być łagodny jak baranek.

Henryk Mann „Młodość króla Henryka IV".

Nagrodę wylosowała **Irena Skibińska**, ul. Szenwalda 34/35, 20-080 Lublin.

Zderzenia

ARIA DLA ANALFABETY

Telewizja Polska tym między innymi różni się od telewizji innych krajów, że w przypadku filmów zagranicznych spiker, często dukając, myląc się i okazując swe zamyślenie o odległych sprawach, odczytuje głośno ukazujące się na ekranie napisy. To fakt, że często mu współczuję, kiedy na przykład musi przeczytać wyrazy w stylu k... czy d..., lub gdy relacjonuje drżącogłosy miłosny dialog. Sprawę tego dubbingu zostawmy jednak na boku, zwłaszcza że ma on także swoje dobre strony, choć na pewno więcej złych. Taka to już wieloletnia tradycja, więc niech tam! Gorzej wszakże, jeśli i czołówka polskiego filmu poddana zostaje tym samym werbalnym zabiegom. Taki ukłon w stronę analfabetów zafundowano nam w czasie niedawnej projekcji filmu „Romans z intruzem". To fakt, że wiele dialogów w tym filmie przeprowadzono w języku niemieckim, ale do diabła, kto film reżyserował, a kto skomponował muzykę mogliśmy sami z łatwością przeczytać. Zwłaszcza że nazwiska twórców zawsze pisane są tzw. „tłustym drukiem".

Oj, rozpieszcza nas ta telewizja, rozpieszcza!

A może płacą tam od liczby wypowiedzianych wyrazów?

ROLNICZY REGION

W witrynie sklepu owocowo-warzywnego przy Krakowskim Przedmieściu pojawił się ostatnio pięknie wyryty w drewnie napis: „Lubelszczyzna — regionem rolniczym". Miło było to przeczytać, bo jakoś tak znowu nabrał człowiek pewności, że co jak co, ale wyżywić to się nad Bystrzycą wyżywimy. Cóż, kiedy pod tym optymistycznm hasłem żaden z reklamowanych produktów nie pochodził z naszego regionu. Były tam ketchupy z Poznania, przetwory z Tarczyna, soki owocowe z Gdańska i sosy nieśmiertelnej firmy Comindex ze stolicy. Nawet wiśnie w koszyczku były spod Sandomierza, bo u nas „latoś nie obrodziły".

Cóż więc z tego, że rolnictwo u nas tęgie, skoro jeśli pracuje (w co nie wątpię) to zapewne dla innych?

A może to szczególny przejaw międzywojewódzkiej integracji?

(h)

NA RÓWNI POCHYŁEJ

W sobotę, 12 września, kolejne porażki naszych drugoligowców. Niestety, ale zarówno Motor jak i Avia znajdują się na równi pochyłej i pewnie zmierzają do niższej grupy. No, może to jest krakanie na zapas, dzielenie skóry na nie ubitym niedźwiedziu, niemniej fakt jest faktem: leją naszych.

Piszemy o tym ze smutkiem, bo niedawno „Kamena" otworzyła swój numer rozmową z trenerami Motoru, mieliśmy cichą nadzieję, że Motor walczyć będzie o powrót do ekstraklasy, ale już pierwsze spotkania lubelskiej drużyny pokazały, że nie może się ona pozbierać i że spadek do drugiej ligi nie był przypadkowy. Z kolei nasuwa się pytanie: co się dzieje z Avią? Przecież w tym roku gra ona słabiej niż w jesiennej rundzie ubiegłego roku?! Dostaje cięgi na własnym stadionie przez co traci sympatię już i tego mniejszego grona swoich zwolenników...

Tymczasem w pierwszej lidze bez rewelacji. Osiem spotkań i pięć remisów.

(z)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 255-36.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-51, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 1390, 2.09.1987, Z-5

GNIAZDO

Fotografował: Przemysław Ostrzyżek

RODZINA KAMPÓW Z ZAZDROŚCI KOŁO OLSZTYNA

Ojciec — leśniczy od wyzwolenia, matka — dyrektorka szkoły gminnej syn — student III roku prawa Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, przyrządza znakomite esery. Córka starsza 16-letnia uczennica czynnie uprawia sport: pchnięcie kulą jazdę konną. Córka młodsza, uczennica szkoły podstawowej, amatorsko zajmuje się malarstwem. Jest też babcia — emerytka.